

Jerzy Zygmunt

1
o
o
o





Są słowa zawierające taki ładunek treści magicznej, że samo ich wymawianie działa na wyobraźnię, wyzwalając nastrój tajemniczości i obawy. Do takich słów należy „JASKINIA”.

Cytat pochodzi ze wstępu do książki „Na dno świata”, napisanej przez Przemysława Burcharda w 1960 roku. Rzecz dotyczyła podziemnych wypraw grotolazów do jaskiń, ukrytych w górach kilku europejskich krajów. W tamtych, tuż powojennych latach dopiero formował się polski ruch taternicki, zarówno wysokogórski, jak i podziemny. Nieliczni pasjonaci musieli osobiście przełamywać różnorakie bariery, np. sprzętowe, finansowe, psychiczne czy nawet... polityczne, by móc realizować swoje marzenia. W przypadku jaskiń wyjątkową rolę odegrała 7-osobowa grupka krakowskich studentów, którzy w 1950-tym roku założyli Klub Grotolazów. Można przyjąć, że od tego rozpoczął się nowoczesny, polski ruch jaskiniowy. Pionierskie te czasy szczęśliwie zostały udokumentowane przez uzdolnionych literacko grotolazów, takich jak Maciej Kuczyński czy wspomniany Burchard. Ten ostatni opisał kilka pierwszych zagranicznych wypraw, wszystkie, jakie odbyły się w latach 1955-1960. Były to jaskiniowe ekspedycje w Słowackie Tatry, na Starą Planinę w Bułgarii, w Góry Bukowe na Węgrzech i w Alpy Delfinackie we Francji. A więc w przeciągu pięciu lat zaledwie parę imprez. „Prawie nic” – można by podsumować. Pamiętajmy jednak, że wszystko to się działo w latach pięćdziesiątych, w okresie głębokiej, stalinowskiej komuny, kiedy nie było łatwo zdobyć paszport.

Szczególne znaczenie miała wyprawa do Francji w 1956 roku. Już wtedy bardzo intensywnie szukano wielkich jaskiń, w nadziei na uzyskanie rekordowej głębokości, na znalezienie podziemnego Everestu. Ten swoisty wyścig na Dno Ziemi rozpoczął się jeszcze w końcówce XIX wieku, kiedy w zachodniej Europie już od wielu lat działały Towarzystwa Speleologiczne. Np. w roku 1841 Austriak F. Lindner eksplorował Abisso di Trebiciano, osiągając rekordową głębokość -329 m. Sześćdziesiąt lat później, w 1909 r., w szwajcarskiej jaskini Nidenloch osiągnięto poziom -394 m, przechwytyjąc tym samym pałeczkę prowadzenia. W 1944 roku Francuzi z Lyonu eksplorowali delfinacką Dent de Crolles, osiągając poziom -512 m. W roku 1953 także Francuzi (Lépineux, Loubens i in.) zbadali pirenejską Pierre Saint-Martin do rekordowej głębokości 689 m. Aż wreszcie w Alpach Delfinackich koło Grenoble znaleziono Gouffre Berger, którą w 1954 roku poznano do poziomu -903 m. Jaskinia ta ciągnęła się jednak dalej i niżej, stwarzając realne szanse na przekroczenie magicznej granicy tysiąca metrów głębokości. Na decydującą wyprawę Francuzi (kier. F. Petzl) zaprosili zagranicznych grotolazów, w tym pięciu z Polski. W gigantycznym przedsięwzięciu, z udziałem stu kilkudziesięciu osób i mnóstwa sprzętu, udało się przebyć jaskinię aż do dna. Położony na głębokości 1122 metrów syfon końcowy osiągnęli dwaj Francuzi, jeden Libańczyk i jeden Polak, konkretnie Kazimierz Kowalski – szef Komisji Taternictwa Jaskiniowego Sekcji Alpinizmu ZG PTTK. W ten sposób Polacy po raz pierwszy zaznaczyli swoją obecność w największych jaskiniach świata.

Opis tego wszystkiego, co działo się przez następne przeszło pięćdziesiąt lat w naszym jaskiniowym ruchu, zapełniłby strony kilkunastu opasłych tomów. Wydarzyło się bowiem sporo. Prawie we wszystkich większych miastach powstały jaskiniowe kluby, jako wyspecjalizowane Komisje przy Oddziałach PTTK lub Sekcje Klubów Wysokogórskich. Największą ich bolączką był brak kadry instruktorskiej, zresztą niby skąd miała się wziąć, skoro cały ten podziemny ruch dopiero się tworzył. Sięgnięto więc do tradycji wspinaczkowych i część znanych już taternickich technik, a nawet ideologii umiejętnie do-

pasowano do jaskiniowych wymogów. W sumie okazało się to nawet korzystne rozwiązanie, bo to oznaczało, że dobrze wyszkolony grotolaz musiał być także sprawnym wspinaczem.

Kiedy w roku 1972 zapisałem się na kurs dla początkujących, organizowany przez Speleoklub PTTK Częstochowa, głównym obiektem najbardziej ambitnych, jaskiniowych wyzwań były tatrzańskie groty. Traktowaliśmy je bardzo poważnie, z należyтым szacunkiem, o wiele większym niż to się dzieje obecnie. Wyjazd w Tatry był poprzedzony intensywnym treningiem i kilka tygodni przed planowanym wyjazdem każdą niedzielę spędzaliśmy na Jurze, biegając do upadłego po najtrudniejszych jaskiniach. Szczególnie modne było Studnisko, ze swoją przepastną, prawie 30-metrową wlotówką. Limit czasu, przeznaczony na pokonanie tego pionu po linii przy pomocy trzech zaciskowych węzłów prusika, wynosił cztery minuty. Kto się nie wyrobił, nie miał czego szukać w górach. Tego typu sportowe podejście do jaskiń, promowane także w innych klubach, szczególnie w krakowskim KKTJ, wyznaczało także rywalizację – kto szybciej pokona daną grotę, w jakim stylu, którym wariantem – i w efekcie nieustannie podnosiło poprzeczkę. W taki to sposób, ciągle jeszcze przepychając się w wielkim ścisku przez korytarze kilku najbardziej popularnych tatrzańskich jaskiń, powoli ale skutecznie dojrzewaliśmy do wyjścia poza granice Polski, na międzynarodową arenę podziemnych podbojów.

Przełomem były tutaj trzy wydarzenia:

1. Znaczące poluzowanie szczelności peerelowskich granic w czasach gierkowskiej dekady, kiedy wreszcie normalny obywatel mógł czasem otrzymać paszport.

2. Utworzenie w 1974 roku Polskiego Związku Alpinizmu, organizacji rządowej, zrzeszającej wszystkie polskie kluby wspinaczkowe i jaskiniowe. Wprowadzono jednolity system stopni, szkolenia oraz... dotacji, zarówno złotówkowej, jak i dewizowej.

3. Stworzenie możliwości zarobkowania pozaetatowego w ramach tzw. Funduszu Akcji Socjalnej Młodzieży. W naszym przypadku przełożyło się to na powstanie bardzo dużego rynku prac wysokościowych.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Niczym sfera psów spuszczonej z łańcucha nasi górolazi rzucili się na cały świat. Nastął „fenomen polskiego alpinizmu”, jak niektórzy potem nazwali ten okres. Został on uwieczniony pierwszym zimowym wejściem na Mount Everest oraz zdobyciem „korony” Himalajów przez Jerzego Kukuczkę. W przypadku działań wysokogórskich szczęśliwie złożyło się, że sporo z nich, w tym wszystkie bardziej znaczące, zostało utrwalone na kartkach książek, głównie z turystycznej serii Wydawnictwa Iskry oraz Sport i Turystyka. Dzięki temu temat alpinizmu został w Polsce odpowiednio rozreklamowany, zaś historia zdobywania niedostępnych gór udokumentowana.

Analogicznie jak w wysokich górach, dużo działa się także pod ziemią. Ilość wypraw w rejonu krasowe całego świata zwiększała się każdego roku, mimo że odbywała się z udziałem stosunkowo małej grupy osób. W Europie żaden wapienny górotwór nie oparł się dociekliwości naszych grotolazów – całe Karpaty, Góry Dynarskie, Pireneje, Apuany, Góry Kantabryjskie, Kaukaz... Od roku 1970-go datuje się prawdziwy podbój Alp Salzburskich w Austrii, trwający nieprzerwanie do dziś. Są to już setki wypraw, których efekty trudno zliczyć, a co dopiero opisać. Właśnie w „tamtejszym” masywie Leoganger Steinberge spełniło się marzenie wszystkich (?) polskich grotolazów – odkrycie najgłębszej jaskini świata. Nastąpiło to w 1998 roku, kiedy w wyniku przeszło trzydziestoletniej, bardzo intensywniej eksploracji jaskini Lamprechtsofen, uzyskano w niej rekordową deniwelację 1638 m.

Większość tych wypraw została udokumentowana w postaci lakonicznych sprawozdań czy bezbarwnych opisów w specjalistycznych klubowych biuletynach. Ostatnio także na

stronach internetowych. Ale wszystkie bez wyjątku zostały napisane językiem „branżowym”, wręcz gwarą, zupełnie niezrozumiałą dla kogoś postronnego. Niestety, nie dorbiliśmy się w naszym środowisku uzdolnionych literatów i poza nielicznymi wyjątkami*, tylko to potwierdzającymi, jak dotąd nie zaistniał szerzej dostępny i zrozumiały dowód naszej działalności. Właściwie temat taternictwa jaskiniowego pojawiał się w mediach tylko przy okazji podziemnych wypadków. Wtedy jak grzyby po deszczu wyrastali dziennikarze, którym dotąd grotolaz mylił się z troglodytą, eksploracja z eksploatacją i próbowali zabłysnąć swym intelektem na tle czyjegoś nieszczęścia. – Po co tam włązili? Nie dałoby się tego uniknąć? Jak można tak niepotrzebnie ryzykować, kiedy przecież wygodniej przed telewizorem... itd. Spotykałem się wielokrotnie z takimi „zarzutami”.

– Panie! Dużo aby płacą za taką wyprawę? – słyszałem nawet tego typu pytania. – No jasne – potwierdzałem. – Pół dolara za każdy metr jaskini! – odpowiadałem zgodnie z oczekiwaniem pytającego i odchodziłem, słysząc za plecami pomruk zazdrości i „zrozumienia”.

Takie sytuacje mogły tylko utwierdzić w przekonaniu, że jest Coś do zrobienia, że warto poświęcić trochę czasu i spróbować przekazać szerzej garść informacji o naszych poczynaniach. Wielokrotnie zdarzało mi się udzielać wywiadów, szczególnie po powrocie z jakiejś znaczącej wyprawy. Ale później, po przeczytaniu dziennikarskiej interpretacji moich przeżyć i po następnej chwili, kiedy minęło zdenerwowanie, coraz częściej zastanawiałem się, czy samemu nie spróbować. Zdążyłem już opublikować parę opowiadań, zarówno jaskiniowych jak i podróżniczych, a zebrana na ich temat opinia działała zachęcająco. Miałem sporo notatek, potem, jak zacząłem wozić z sobą kamerę, także udźwiękowionych nagrań wideo. W sumie był to wdzięczny temat do obróbki. Ale jednocześnie ciągle podróżowałem, próbując nieudolnie pogodzić sprzeczne interesy pracy zarobkowej, długich wyjazdów i domowych obowiązków. Na półce z notatkami przyrastała coraz grubsza warstwa kurzu.

W lutym 2003 roku wyjechałem na bardzo odległą wyprawę do Patagonii. Pamiętam, jak już drugi dzień płynęliśmy stateczkiem w kierunku wyspy Madre de Dios, gdzie mieliśmy zamiar eksplorować jaskinie marmurowych gór. Mimo subpolarnego chłodu i lekkiej bryzy, wytrwale tkwiłem na pokładzie, podziwiając bajkowy krajobraz chilijskich fiordów. Dosiadł się Andrzej Ciszewski, szef tego przedsięwzięcia, a przy tym towarzysz wielu dawniejszych wypraw. Rozmowa, jak zwykle z Ciszkiem, w końcu zeszała na Alpy.

– Wzięłybyś się Imon do roboty – z uśmiechem zaproponował – i w końcu napisali-byśmy tę książkę o *Lampo*.

Chodziło o jaskinię Lamprechtsofen, tę samą, w której pięć lat temu odnieśliśmy tak ogromny sukces odkrywcy. Andrzej kierował większością tamtych wypraw (chyba około 30) i z pewnością zależało mu na tym, aby historia poznawania jaskini nie została zapomniana. Ja z kolei, już wcześniej byłem „zamieszany” w *Leogang*, ale od strony filmowej. Udało mi się uwiecznić na taśmie wideo sporo ciekawych sytuacji, zarówno z obozu, jak i z groty, a potem to wszystko zmontować. Film okazał się znakomitą pamiątką, poza tym wykonał całkiem porządną robotę propagandowo-informacyjną podczas prezentacji na kilku znaczących festiwalach i w paru telewizyjnych programach. Mając więc już jakieś doświadczenie w zbieraniu i opracowaniu materiałów, bez większego zastanowienia odpowiedziałem: – Właściwie... nie mam nic innego do roboty. Mogę spróbować.

No i spróbowałem. Zebrałem większość opublikowanych materiałów, nagrywałem wywiady z uczestnikami poszczególnych wypraw, szczególnie z tymi, którzy znacząco

„Meander na minus 1000”. W. Rudolf, 1988

„Tatrzańscy Kosynierzy”. A. Korsak, 1977

przysłuzili się do kolejnych odkryć, wysłuchiwałem relacji zawodników z tego samego zespołu, z których każdy inaczej przedstawiał to samo wydarzenie, niczym spowiednik wysłuchiwałem odkurzonych żali i pretensji, opracowywałem plany, zdjęcia i...

...i się „zatkałem”. Deklarowana wcześniej pomoc często pozostawała deklaracją, obietnicami – obietnicami, a mnie stopniowo coraz bardziej ubywało energii. W końcu doszedłem do wniosku, że w tym tempie to może mi się uda zebrać komplet materiałów, ale za 10 albo 15 lat. Zastanowiłem się nad tym jakby głębiej, z dystansu. Co ja właściwie robię? Czy muszę się oglądać na innych, skoro sam mam na swoim koncie wystarczająco dużo przygód? Z tego część już w znaczącym stopniu opisana. Zajrzałem na półkę, zdmuchnąłem kurz i... zabrałem się do pracy. Na półkę zaś wrzuciłem pokaźny stos austriackich materiałów. Akurat kurz osiadał z powrotem na swoje miejsce.

Tak więc – to miała być zupełnie inna książka! Jak to czasem zrzędzenie losu dziwnie pozmienia plany. Miałem też dodatkową motywację, takiego prawdziwego kopa. Otóż w obecnym, 2006 roku, mój klub obchodzi pięćdziesiątą rocznicę powstania. Czy może być lepsza okazja do wydania książki o jaskiniach? Jakby tego było mało, doszła następna okoliczność – 100-lecie turystyki w Polsce, szczególnie uroczyste obchodzone w Częstochowie, choćby z tego powodu, że to na pobliskiej Jurze powstała idea powołania Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

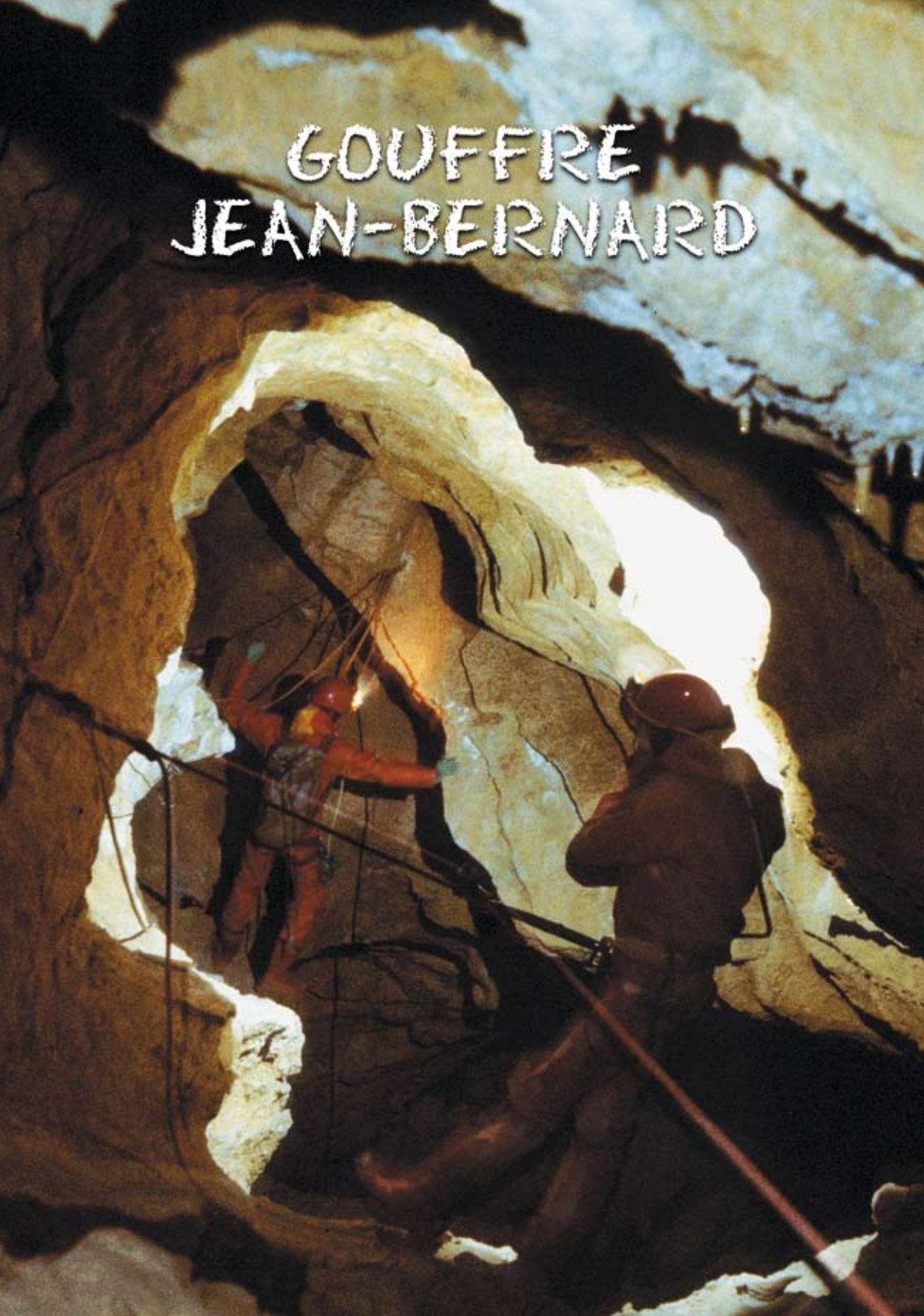
Z archiwum wspomnień wybrałem kilka tematów, bardzo ważnych, nie tylko dla mnie, ale również dla historii jaskiniowego ruchu. Mimo dużego znaczenia, już niektóre z nich zdążyły zaniknąć w mrokach historii. Cieszę się, że udało mi się to uratować od zapomnienia. Najbardziej zależało mi na oddaniu specyficznej atmosfery, jaką można zauważyć na każdej wyprawie, no i, rzecz oczywista, przekazaniu szerzej głównych założeń ideologicznych polskiego taternictwa jaskiniowego i to przy użyciu, w miarę możliwości, jak najbardziej zrozumiałego języka. Nie mogłem jednak całkowicie wyeliminować gwary, zresztą nawet tego nie chciałem i dlatego też dołączyłem mały słowniczek trudniejszych terminów. Większość przedstawionych dialogów jest autentyczna, skompilowana na podstawie posiadanych nagrań magnetofonowych lub filmów wideo, choć niekiedy musiałem samemu coś wymyślić. Czytelnicy ocenią...

Na koniec z przyjemnością dziękuję moim przyjaciołom, którzy zupełnie bezinteresownie pomogli mi w ostatecznym dopracowaniu: Irkowi Bojczukowi z Warszawy – za przetłumaczenie włoskiego artykułu, Krzysztofowi Hancbachowi z Nowego Sącza – za udostępnienie tekstów, Markowi Jędrzejczakowi z Wrocławia – za napisanie epilogu i udostępnienie mapy plastycznej gór Picos de Europa, Kazikowi Kocjanowi z Olkusza – za skuteczną motywację, Piotrowi Kulbickiemu z Krakowa – za opinię, Mariuszowi Miedzińskiemu z Częstochowy – on już wie za co, Marianowi Napierale z Katowic – za konsultację, udostępnienie zdjęć i tekstów, Henrykowi Nowackiemu z Wrocławia – za przekazanie zdjęć i nagrań magnetofonowych, Zbigniewowi Rysieckiemu z Katowic – za udostępnienie tekstów, Maćkowi Stobierskiemu z Sosnowca – za ogólną pomoc, Mariuszowi Szelerewiczowi z Krakowa – za dobre rady przy ostatecznym składaniu tekstu, Kazikowi Szychowi za opinię i tekst, Zbyszkowi Szczepkowskiemu z Warszawy i Jurkowi Vereyowi z Krakowa – za udostępnienie nagrań magnetofonowych, i Agacie Tyl z Częstochowy – za korektę tekstu.

Na koniec dziękuję szanownemu czytelnikowi, że... przeczytał ten wstęp. Jeżeli dał radę, jeżeli wytrzymał do tego miejsca, to cóż... – zapraszam na następne strony, na jaskiniową wyprawę.

Jerzy Zygmunt
Częstochowa 2006 r.

GOUFFRE JEAN-BERNARD







W TEORII

Kiedy na początku lat siedemdziesiątych rozpoczynałem swoją przygodę z jaskiniami, nie przypuszczałem, że będzie to moja główna, życiowa pasja. Kolejno „zaliczałem” jurajskie grotty, coraz śmielej radziłem sobie w jaskiniach tatrzańskich i ani się obejrzałem, gdy z nieśmiałego początkowo kursanta przemieniłem się w doświadczonego łojanta*. W kwietniu 1979 roku stanąłem przed Komisją Egzaminacyjną Polskiego Związku Alpinizmu, aby sięgnąć po stopień zwyczajnego taternika jaskiniowego.

– Pokaż no ten twój wykaz! Zobaczmy, co takiego ważnego zrobiłeś w górach, że zawracasz nam głowę... – szef Komisji popatrzył na podany papier. – Jaskinia Naciekowa, Kasprowa, kilka razy Czarna, Zimna. – Może być, choć to typowa turystyka. Trochę wspinaczek. I to zimowych! – mrużąc pod nosem słowa komentarla Stach Miształ, niczym Sędzia Najwyższy, miał zdecydować o dopuszczeniu do egzaminu. – O! Działaleś w Bańdziochu...?! Bardzo dobrze. I Ptasia – ambitnie, przez progi..., na sportowo! Jest też Wysoka, Miętusia, Litworka i Śnieżna – czyli cały tatrzański standard. No i już cztery wyprawy zagraniczne. Bardzo dobrze... – uśmiechnął się jowialnie i posłał do następnego. Zaczął się egzamin. Topografia Tatr, podstawy geologii, typy nacieków, ochrona przyrody, zasady asekuracji, poręczowania, autoratownictwo... – krzyżowały się pytania z różnych dziedzin.

– No właśnie! Proszę wymienić nazwy trzech najgłębszych jaskiń świata, łącznie z ich deniwelacjami i górami, w jakich się kryją – doczepił się następny egzaminator.

– Najgłębsza z nich znajduje się w Pirenejach. Nazywa się Gouffre Pierre Saint-Martin i posiada głębokość 1332 m – zacytowałem na pewniaka, od razu robiąc dobre wrażenie. Miałem szczęście, bo akurat niedawno przeczytałem o tym książkę*.

– Dooooobrze – potwierdził. – Kontynuuj, młody kolego...

– Druga to Gouffre Jean-Bernard, także we Francji. Ma głębokość 1298 m i znajduje się w górach... hmmm... w górach...

– Nnnnooooo...?! – docent Pulina ze zniecierpliwieniem zmarszczył brwi i nerwowo zastukał długopisem w blat stołu. Poczuję się jak stremowany student, oblewający trzeci termin, choć mój dyplom magistra biologii już od roku leżał w szafie, schowany na dnie szuflady. Francuskie nazwy były trudne nie tylko do zapamiętania, ale nawet i wymówienia. Kryjące się pod nimi jaskinie były tak odległe i nieosiągalne, że nie mieściły się nawet w strefie wyobraźni. Nic dla mnie nie znaczyły.

– Chyba w Alpach? – zaryzykowałem wymijająco, choć trafnie

Dolina Grands Pois w Alpach Sabaudzkich

*Łojant (ekstremalista) - wspinacz (grotolaz), pokonujący (siekający, łojący) trudne drogi wspinaczkowe (jaskinie).
„W jaskiniach Pierre Saint-Martin”. H. Tazieff, 1959*

i szybko dokończyłem odpowiedź. – A trzecią jest Gouffre Berg er koło Grenoble, o głębokości 1148 m.

– Zgadza się. Konkretnie na Plateau Vercors w Alpach Delfinackich. – uśmiechnął się najśtywniejszy polski speleolog* i podpisał mój kwestionariusz egzaminacyjny. Zaliczony!

Byłem szczęśliwy. Po ośmiu latach „chodzenia” po jaskiniach zdobyłem najwyższy stopień sportowy. Od roku posiadałem także uprawnienia instruktorskie. Przede mną otwierał się więc cały speleologiczny świat. Z takimi „papierami” mogłem uczestniczyć w każdej wyprawie, a nawet nią kierować. Przez głowę przebiegały różnorodne pomysły i marzenia. Ale na pewno nawet przez myśl mi nie przeszło, że już następnej zimy, czyli za niecały rok, będę brał udział w sportowej wyprawie do największej jaskini świata. Do jaskini, której nazwy nawet nie potrafiłem wypowiedzieć. Do Gouffre Jean-Bernard.

Kraków, 6 lutego 1980.

Już dwie doby upychaliśmy nasz dobytek do skrzyń, skrzętnie zapisując ich zawartość. Mieliśmy niewielkie opóźnienie i nerwowa atmosfera udzielała się wszystkim. Co rusz wyskakiwały jakieś braki w zaopatrzeniu i gorączkowe poszukiwania potrzebnych rzeczy. Nieuchronnie nadchodził także czas odprawy celnej. Jakby tego było mało, przypłatał się jeszcze jakiś namolny dziennikarz. I to z radia. Chcąc nie chcąc, dwóch najbardziej wygadanych zgodnie zostało przez ekipę skazanych na medialne wygłupy.

– Dzień dobry państwu! Na antenie Trójki gościmy dzisiaj... – zapowiedział redaktor i zniemacka szepnął do nas – ...przedstawcie się!

– Jan Orłowski z Krakowa i Jerzy Zygmunt z Częstochowy – wyksztililiśmy z głębi gardeł, kurczowo ściśniętych widokiem mikrofonu.

– Podobno panowie wybierają się na „Dno Ziemi”?

– Tak. Naszym celem jest sportowe przejście Gouffre Jean-Bernard, najgłębszej obecnie jaskini świata. Udajemy się tam jako centralna wyprawa Komisji Taternictwa Jaskiniowego Polskiego Związku Alpinizmu, w trzynastoosobowej ekipie pod kierownictwem Andrzeja Ciszewskiego.

– Aaaa właśnie! Byłbym zapomniał. Umawiałem się przecież z panem Ciszewskim. Dlaczego nie przyszedł? – zaniepokoił się.

– Od miesiąca przebywa w Meksyku, gdzie razem z katowickimi speleologami* działa w jaskini Sotano de San Augustin. Za tydzień spotkamy się z nim we Francji.

– Nieźle – ze słabo ukrywanym cieniem zazdrości mruknął pod nosem i szybko wrócił do oficjalnego tonu. – A teraz może usłyszelibyśmy coś bliższego o waszej jaskini. Czemu ma taką dziwną nazwę?

Odruchowo cofnąłem się w głąb fotelu, prowokując Jaśka do odpowiedzi. W końcu pełnił funkcję zastępcy kierownika, a ja jakoś nie najlepiej czułem się w tym temacie.

– Gouffre Jean-Bernard znajduje się we wschodniej Francji, w Alpach Sabaudzkich. Została odkryta w 1963 roku przez członków jaskiniowego klubu *Groupe Vulcain* z Lyonu. Jej nazwa pochodzi od imion dwóch grotolazów – Jeana Dupont i Bernarda Raffy, którzy zginęli w jaskini Goule de Fossoubie, w tym samym roku, w czasie gwałtownego przyboru wody. W ciągu sześciu następnych lat w wyniku intensywnych prac eksploracyjnych osiągnięto w „naszej” jaskini głębokość 623 m – pięknie recytował Janek.

– Nie rozumiem. Czy nie można było od razu zbadać całej jaskini, a nie męczyć się z nią tyle lat? I co właściwie znaczy to słowo – „eksploatacja”? Czy tam coś wykopywano?

– Nie eksploatacja, lecz eksploracja! – tym razem ja wtrąciłem się do rozmowy.
– Jest to po prostu odkrywanie. Kierunek speleologii polegający na szukaniu i badaniu nowych jaskiń. Coś w rodzaju geograficznych odkryć.

– Poza tym, im głębiej tym trudniej – dodał Orłowski. – Wraz z głębokością powiększają się podziemne potoki, zamieniając studnie w niedostępne wodospady. W zalewanych przez wodę korytarzach tworzą się syfony*. Aby tego uniknąć należy wejść do jaskini zimą, kiedy jest śnieg i woda nie spływa do wnętrza góry. Eksploracja jaskini Jean-Bernard postępowała wieloetapowo. Każdej zimy lionścy grotolazi zdobywali w niej kolejne metry głębokości. I to, nie tyle ile chcieli, lecz – ile mogli! Zaś w okresie letnim, wysoko w górach, na wapiennych zboczach góry *les Avoudrues*, systematycznie penetrowali krasowe studnie, licznie dziurawiące lapiazowe pola* i polodowcowe kotły*. W końcu jedną z nich, oznaczoną kryptonimem B-19, połączono z naszą jaskinią, zwiększając deniwelację powstałego tak systemu do liczby 1298 m. Było to w roku 1975 i dawało Gouffre Jean-Bernard drugą pozycję na liście najgłębszych jaskiń świata.

– To jest taka lista?

– Jest tego cała książka! Tzw. „Atlas wielkich jaskiń świata”, redagowany przez francuskiego speleologa Paula Courbona. Lista ulega nieustannym zmianom. W miarę postępujących odkryć poszczególne jaskinie zajmują w niej coraz to wyższe lokaty. Inne zaś, dla odmiany, spadają ze „świecznika”. Walka o prymat jest silnym bodźcem dla prowadzenia podziemnej, odkrywczej działalności. Zarówno dla całych klubów, jak i pojedynczych osób. Jest to przecież oczywiste, że marzeniem każdego grotolaza, jak zresztą prawie każdego człowieka, jest dokonanie czegoś wielkiego. W naszym przypadku można stwierdzić, że trwa swoisty wyścig w głąb ziemi.

– Dobrze! Ale co z tą *Jean-Bernard* ?

– W końcu lat siedemdziesiątych polscy grotolazi ulegli modzie na sportowe pokonywanie trudnych jaskiń. Polski Związek Alpinizmu nawet nagradzał najbardziej wartościowe przejścia! Na ambitny cel można było dostać służbowy paszport i trochę dewiz, co w schyłkowym komunizmie było sytuacją wyjątkową. Nic więc dziwnego, że staraliśmy się o pozwolenia na wejścia do jaskiń z pierwszych miejsc tej listy.

– Nie ulegli, lecz sami taką modę stworzyli! – trafnie poprawił mnie Wasyl, po czym jeszcze z rozpędu poprawił samego siebie – Właściwie... to my ją stworzyliśmy.

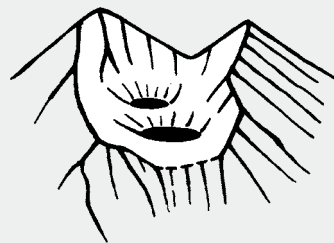
– Wiecie Panowie? Już mi się to wszystko poplątało – wyznał szczerze redaktor.
– Mylą mi się te działania eksploatacyjne, hmm..., przepraszam – eksploracyjne, jakies pozwolenia, listy jaskiń i wyścigi.

– To takie pomieszanie sportu, odkryć i ambicji – wbiłem się głębiej w fotel, czując że tracę grunt. Ideologia nigdy nie była moją silną stroną. A przecież nie przyznam się, że główną motywacją, jaka kazała mi zgłosić się do składu wyprawy, była zwykła, a może nawet i prymitywna, chęć przeżycia wielkiej przygody.

Syfon – odcinek korytarza jaskini, całkowicie zalany wodą, często o przekroju w kształcie litery **U**.

Lapiaz – skaliste, wapienne pole, pokryte gęstą siecią nieregularnych rynienek i szczelin o krasowym pochodzeniu.

Kocioł (kar, cyrk glacialny) – zamknięcie doliny w kształcie kotła, z trzech stron ograniczonego ścianami skalnymi, odgradzonego rygłem od dolnej części doliny.



Kocioł polodowcowy

– Wynika to po części ze struktury organizacyjnej naszego ruchu – ze śmiertelnie poważną miną Janek ciągnął dalej, uważnie ważąc słowa. – Otóż Polski Związek Alpinizmu jest organizacją sportową, podobną do piłkarskich czy kolarskich. Tylko że te nasze, bardziej przestrzenne dyscypliny, związane z Górą czy Jaskinią, są takie, jakby mało wymierne. Nie da się tu uzyskać porównywalnych wyników. Sportowe pokonanie trudnej jaskini polega na sprawnym jej przejściu, od najwyższego otworu do syfonu końcowego i z powrotem.

– A czy Francuzi przeszli tę jaskinię? W końcu ją odkryli.

– Znali ją bardzo dobrze, głównie z wielodniowych wejść eksploracyjnych. Próbowali także pokonać ją na sportowo, ale mimo trzech prób, dotąd im to się nie udało.

– Dlaczego? Czyżby byli gorsi?

– O! Co to, to nie! Należą do najlepszych. Po prostu mieli pecha i nie trafili na odpowiednie warunki. A są one podstawą działalności w Gouffre Jean-Bernard. Problem tkwi w charakterze naszej groty. Jaskinia ta odprowadza wody z górskiego stawu *du Folly*. W czasie lata, kiedy topnienie śniegu jest intensywne i dodatkowo spadają deszcze, wiele korytarzy jest całkowicie zalewanych. Tworzą się w nich tzw. syfony. Na progach i studniach powstają zaś groźne wodospady. Z tego względu jaskinia jest dostępna tylko zimą i jedynie wtedy, gdy mróz skuje lodem powierzchniowe wody. Górny otwór B-19 jest położony na wysokości 2150 m n.p.m., a więc bardzo wysoko, już powyżej górnej granicy lasu, w piętrze alpejskim. Droga do niego prowadzi terenem o dużym zagrożeniu lawinowym. A więc już samo dojście do jaskini jest przedsięwzięciem niebezpiecznym.

– A wy? Na co liczycie?

– Przede wszystkim na szczęście. No i dobrą pogodę. Musimy także pamiętać, że sama jaskinia, jak się już uda do niej wejść, jest ekstremalnie trudną. Najprościej można ją sobie wyobrazić w postaci ciasnej, pionowej szczeliny, dłuższej na 12 kilometrów i poprzerywanej co najmniej setką pionowych progów i studni. Przed nami jest zadanie trudniejsze, bo i jaskinia jest trochę inna. Otóż latem ubiegłego roku do systemu Jean-Bernard przyłączono studnię B-21, świeżo odkrytą na wysokości 2210 m n.p.m. W ten sposób został poznany podziemny system o rekordowej głębokości 1358 metrów. A my, dzięki temu zbiegowi okoliczności, starając się od lat o zezwolenie na przejście drugiej jaskini świata...

– Znowu nic nie rozumiem – przerwał dziennikarz, bezradnie rozkładając ręce.

– Dlaczego staraliście się o przejście drugiej, a nie od razu – pierwszej? Byłoby ambitniej... – dodał już całkiem prowokacyjnie.

– Do tego czasu na pierwszym miejscu listy znajdowała się jaskinia Pierre Saint-Martin w Pirenejach. Mimo gigantycznej deniwelacji 1332 metrów jest ona stosunkowo łatwą jaskinią, pod względem trudności wręcz nieporównywalną z Jean-Bernard.

– No właśnie. Jedyne 300-metrowa wlotówka stanowi jakąś przeszkodę, a potem to się właściwie spaceruje lub pływa...

– No i rzecz najważniejsza – Polacy już tam działali. Tak więc, sportowe pokonanie Gouffre Jean-Bernard, nawet jeśli była nieco „płytsza”, stanowiło ambitne wyzwanie. My zaś, starając się o zgodę na jej przejście, w czasie gdy była drugą w świecie, otrzymaliśmy zezwolenie w wyjątkowym okresie – kiedy została znacząco powiększona i wyprzedziła pirenejską PSM. Przed nami otworzyła się ogromna szansa na dokonanie pierwszego przejścia najgłębszej jaskini świata.

– Trzymamy więc za was kciuki. Mam nadzieję, że po powrocie opowiecie o tym – uśmiechnął się redaktor i pożegnał nas.

W DROGĘ

Powodzenie wyprawy w dużym stopniu zależało od środka transportu, który byłby w stanie dostarczyć na miejsce prawdziwą górę sprzętu i żywności. Pod uwagę mógł więc być brany jedynie duży samochód – autobus lub ciężarówka. Oczywiście bardziej cywilizowany i wygodny byłby ten pierwszy. Ale w komunistycznych czasach „szyłkowego Gierka” możliwości były dość ograniczone. Na naszych drogach królowały jelcze, sany i stary, wszystkie jednakowo zawodne i nieekonomiczne. Z reguły należały do dużych, państwowych firm, pełnych różnych kierowników, prezesów, sekretarek, brygadzystów, majstrów i na koniec – sekretarzy zakładowych komórek partyjnych*, od których w sumie zależało najwięcej. Chodziliśmy od jednego do drugiego i naiwnie machając firmówką PZA, snując obietnice o jakichś rekordach, międzynarodowych prestiżach i medalach, daremnie próbowaliśmy wypożyczyć auto. Ostatnią szansą nieoczekiwanie okazał się mój klub.

W tym czasie należałem do Speleoklubu PTTK w Dąbrowie Górniczej – młodej, zagłębiowskiej organizacji, jeszcze bez dorobku, ale już z okazałą „kasą”. Obecnie trudno w to uwierzyć, ale w owym czasie klub ten był właścicielem samochodu ciężarowego Star A-29. Auto zostało specjalnie zakupione dla klubu na potrzeby planowanej wyprawy do Turcji. Obsługiwało także kilka innych imprez speleologicznych, choćby takich jak wyprawa na Bałkany w 1977 roku, do Rumunii w 1978 roku czy do Grecji w 1979 r. W przerwach między nimi próbowało także zarabiać na sobie u różnych przewoźników i dzierżawców. Najbardziej widocznym tego efektem była wzrastająca liczba napraw i wymienianych kolejno części. Nasza Żabusia, bo tak pieśczośliwie nazywano ten zielony wehikuł, w wieku zaledwie trzech lat była już prawie „zarżnięta”, kiedy to w grudniu 1979-go roku otrzymała szansę uratowania naszej wyprawy do jaskini Jean-Bernard. Wprzód jednak należało, nie tyle uratować, co wskrzesić tę, cudem jeszcze poruszającą się kupę złomu. Niewdzięczne to zadanie spadło na mnie, bądź co bądź organizacyjnie związanego z pojazdem, i na mego studenckiego przyjaciela Grzegorza Baczkowskiego, którego skaperowałem na kierowcę wyprawy.



Grzegorz Baczkowski i Krzysztof Hancbach

Na pacy Demona: Stanisław Baraniewicz i Andrzej Bałas

Po obejrzeniu auta i próbie uruchomienia silnika każdy normalny kierowca, znający się chociaż trochę na mechanice, mógł zrobić tylko jedno – puknąć się znacząco w czoło, splunąć taktownie na stronę i zawyrokować:

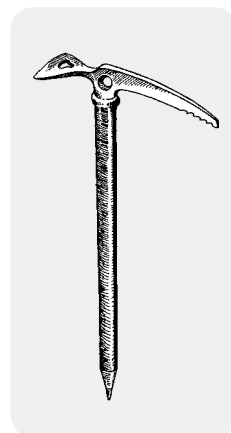
– Panowie! Z tym w Alpy?... Przecież TO się nie dotoczy nawet do najbliższej składnicy złomu.

Każdy normalny.., ale nie Grzesiek! Z wykształcenia przyrodnik, z charakteru uparciuch i marzyciel, lubił trudne wyzwania. Toteż nie zwlekając, żwawo zabrał się do roboty. Pierwszym widocznym efektem prac remontowych było charakterystyczne *image** Grześka, już w zasadzie niezmienione aż do końca wyprawy. Z jakimś przedziwnym talentem potrafił w krótkim czasie uświnić się kompletnie różnymi smarami, olejem, ziemią i czymkolwiek innym, nawet jeżeli reperowana część mieściła się w dłoni. Na czarnej twarzy, okolonej długą, zmierzwioną brodą, można było dostrzec, niczym u murzyna, jedynie przyjazne błyski oczu i zębów, odsłoniętych w nieustannym uśmiechu. Ilekroć przyjeżdżałem do Katowic z kolejną załatwioną częścią, jakąś zgodą czy ubezpieczeniem, mogłem go znaleźć wśród stosu samochodowych części, porozrzucanych chaotycznie na placyku koło Instytutu Badawczego Leśnictwa, w którym oficjalnie się zatrudniał. Kolejne elementy trafiały na swoje miejsce w mechanicznych układach Stara, zaś pobliska kupa złomu stopniowo malała. Na koniec Baczkowski spojrzał na mnie z zagadkowym uśmiechem i przekręcił kluczyk. Hałaśliwie zajazgotał rozrusznik – chwila niepewności – i jest! Monotonny warkot silnika brzmiał jak najpiękniejsza muzyka. Napawał optymizmem. Kiedy wreszcie w przeddzień wyjazdu, piątego lutego dotarliśmy do Krakowa, poczuliśmy że ten pierwszy, dla nas najczarniejszy i chyba najtrudniejszy etap imprezy został spełniony.

W krakowskim domu jednego z uczestników wyprawy, Mikołaja Czyżewskiego, został zorganizowany magazyn. Początkowo tylko strych, potem stopniowo całe mieszkanie wypełniło się skrzyniami i bębnami, zmuszając domowników do chwilowej wyprowadzki. Były tutaj gromadzone przeróżne dobra, cudem prawdziwym *gdzieś* znalezione, *skądś* sprowadzone i ogólnie – *załatwione*. Zakupy, bo o nich mowa, przypominały loterię. Ot, na przykład znajomy czyjejs kuzynki zapodał, że pojutrze *rzucą* na sklep rybny puszkowe sardynki i szproty w oleju, zaś kogoś ciotka, przez brata wujenki, którego córka pracuje w *mięsnym*, prosiła odłożyć kilka mielonek i pęt kielbasy myśliwskiej. W sklepie sportowym oficjalnie można było kupić jedynie kocher do gotowania na denaturacie, pasiaste dresy treningowe według radzieckiego kroju i przy odrobinie szczęścia – szmaciane tenisówki. Prawdziwie górski sprzęt – raki czy czekan* – zamawiało się w Kielcach, u tyle zdolnego co obrotnego ślusarza, znanego w środowisku alpinistycznym pod wymownym pseudonimem Kazia-Mordercy..! To tylko wybrane punkty z długiej listy potrzebnych rzeczy. Przygotowania do wyprawy były popisem zaopatrzeniowej zręczności i zapobiegliwości. Pieniądze miały w tym wszystkim jakby mniejsze znaczenie – były po prostu niezbyt istotną formalnością, symbolicznie zamykającą transakcję. W efekcie tych działań góra sprzętu i żarcia rosła nieprzerwanie, wypełniając zupełnie strych i pokoje. Na koniec wszystko to przewieziono do budynku PTTK, w którym miał swą siedzibę Krakowski Klub

Image – wygląd zewnętrzny

Czekan – rodzaj laski, zakończonej stalową głowicą z dziobem i łopatką; służy do bezpiecznego poruszania się w górskim terenie śnieżno-lodowym.



Taternictwa Jaskiniowego. Tam cały dobytek został zapakowany do skrzyń, a poszczególne jego składniki skrupulatnie zapisane na specjalnych listach. Prace te zajęły cały dzień i pół nocy, aż wreszcie pieczęcie i plomby celników ostatecznie zamknęły ten rozdział. Do imponującej piramidy bagażu doszły jeszcze plecaki indywidualne. Grzegorz podsumował to krótko:

– Nie wejdzie! Paka jest za mała.

Akurat w pobliżu przewinął się Orłowski, niezwykle poważny i skupiony, widać przygnieciony ciężarem kierowania. – To się MUSI zmieścić! – zawyrokował nieodwołalnie. – Wszystko jest wyliczone.

– Może zaczniemy ładować... – zaproponowałem pojednawczo.

Ogromna góra skrzyń rozpoczęła wędrówkę, na naszych plecach oczywiście, przez labirynt korytarzy i pokoi w kierunku placyku, lądując ostatecznie na pace auta. Możliwości Stara okazały się większe niż myśleliśmy i zmieściło się wszystko, a nawet znalazło trochę miejsca dla pasażerów.



Bębny na pakę

Plan podróży był prosty. Cztery osoby miały jechać do Francji pociągiem, z zadaniem dopięcia ostatnich formalności. Osiem pozostałych stanowiło grupę samochodową, podróżując w dość egzotyczny sposób na pace ciężarówki. Ostatni z ekipy, sam kierownik wyprawy, planował dolecieć samolotem, prosto z Meksyku. Najtrudniejsze zadanie należało do grupy drugiej. Już sam przejazd przez pół Europy, w środku zimy, na pokładzie sfatygowanej ciężarówki, był nie lada wyczynem. Nasz zielony Star A-29 stanowił na zachodnich autostradach rzecz wyjątkową. Jak większość produktów okresu zimnej wojny był przeznaczony głównie do celów wojskowych. Stukonny silnik chłonał benzynę niczym smok, zostawiając za sobą czarne obłoki spalin. Stosunkowo nieduża platforma auta była kryta zwykłą plandeką. Większą jej część zajmował bagaż, zapakowany do bębnow i skrzyń. W przedniej, mieszkalnej części zostały zamontowane drewniane drzwiczki. Pierwotnie były one przeznaczone do chlewika mojej babki, ale zgodziła się je wypożyczyć. Przez długi okres podróży służyły nie tylko jako w miarę wygodne wejście, ale i jedyne okno na świat. W czasie jazdy nieustannie gapiliśmy się na mały wycinek krajobrazu, płynnie przesuwający się w świetle tegoż „okna” do tyłu.

Trudno sobie wyobrazić, jak ośmiu dorosłych facetów może ze sobą wytrzymać przez cały tydzień, tłocząc się na sześciu kwadratowych metrach chybottliwej, zimnej powierzchni. Owinięci szczelnie „puchami”*, tkwiliśmy nieruchomo na swych miejscach niczym śpiący rycerze z jakiejś bajki i jedynie wydychane kłęby pary świadczyły o zachodzącym gdzieś w środku metabolizmie. Każda próba sięgnięcia do skrzyni czy plecaka, a nawet jakakolwiek zmiana pozycji, wiązała się z ingerencją w ten zahibernowany* układ. Kiedy już jednak zaistniała taka konieczność, „układ” ospale budził się z letargu i z mniej lub bardziej skrywaną niechęcią ustępował miejsca. Potem wszystko wracało do normy.

Tak! Życie na pace także było niezłą przygodą. Jedyne sensowne odniesienie narzuca mi się do więziennej celi, choć – odpukać – jak dotąd nie znam tego przybytku

Puchowy komplet (puchówka, puchy) – ubranie przeznaczone do akcji w niskich temperaturach, w którym materiałem izolacyjnym jest puch gęsi; na biwakach stosowany w zestawach: kurtka+spodnie+botki puchowe.

Hibernacja – sen zimowy, połączony z wyłączeniem termoregulacji i silnym obniżeniem wszystkich funkcji życiowych (np. u nietoperzy, susłów, świstaków).



Na zdjęciu od lewej: Kazimierz Szych, Stanisław Baraniewicz, Jan Orłowski, Krzysztof Hancbach, Henryk Nowacki, Andrzej Bałas, Andrzej Ciszewski, Ewa Wójcik, Zbigniew Rysiecki, Ryszard Knapczyk, Mikołaj Czyżewski, Jerzy Zygmunt

z autopsji. Nasza motywacja też była trochę inna, gdyż nie znaleźliśmy się w tym miejscu za karę, lecz... w nagrodę! Już samo zakwalifikowanie się do składu wyprawy było nie lada wyróżnieniem. Niejako automatycznie znaleźli się tutaj najlepsi polscy grotolazi, mający na swych kontaktach znakomite przejścia sportowe najtrudniejszych jaskiń, i to nie tylko tatrzańskich, lecz także alpejskich czy pirenejskich. Nazwiska moich nowych towarzyszy były mi doskonale znane z klubowej literatury i ciągle się powtarzały przy opisach znaczniejszych speleologicznych dokonań. Nie ulegało wątpliwości, że znalazłem się w znakomitym gronie i jedynie obawy czy uda się dorównać, czasem wzbudzały u mnie lekki niepokój.

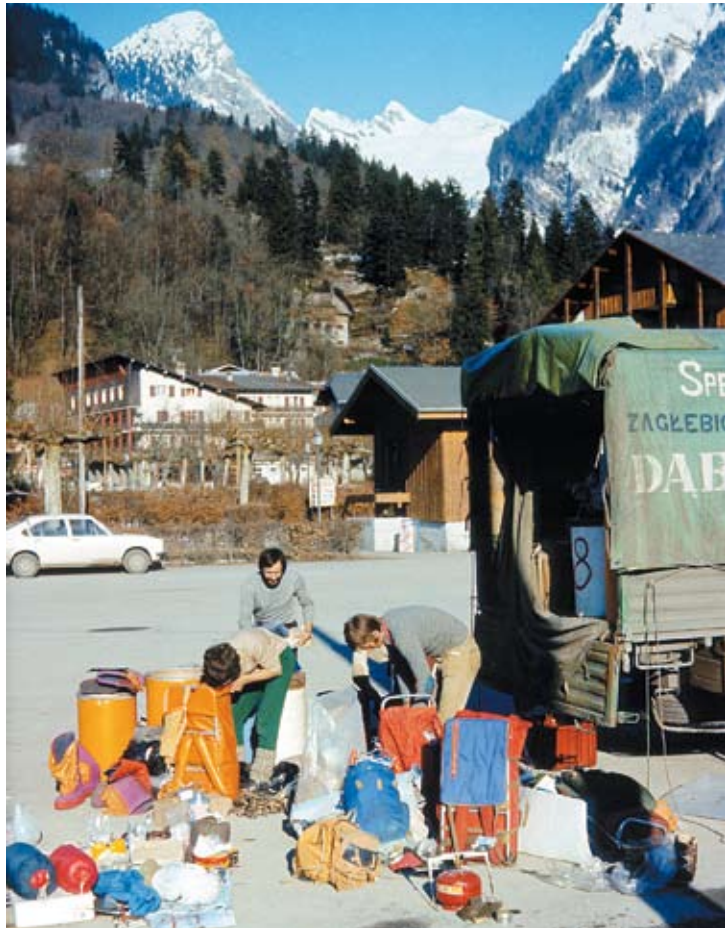
Tymczasem sprawdzaliśmy swoje *psyche** w warunkach samochodowej paki. Kilka razy dziennie, z reguły na przejściach granicznych i w miejscach postojów, zarówno tych nielicznych zaplanowanych, jak i przypadkowych, wynikłych z częstych kaprysów pojazdu, zdarzało się, że następowała wielka przemiana. Przebudzenie! Na znak Grześka ekipa gwałtownie wyskakiwała ze śpiworów, a potem z paki i z wielkim wysiłkiem, zgodnie pchała wehikuł do przodu. Zwykle po przetoczeniu przez auto 10-ciu czy 20-tu metrów silnik załapywał i zgrzytliwie chrypiąc i kaszłąc, przechodził w rytmicznym warkot. Można było wrócić na swoje miejsca. Otóż zaraz na początku drogi straciliśmy rozrusznik – niesprawna instalacja elektryczna wykończyła zarówno ten przy silniku jak i dwa zapasowe – i już do końca trasy musieliśmy uruchamiać ciężarówkę „na pych”. Doszliśmy w tym do takiej wprawy, że po dwóch miesiącach treningu do skutecznego pchnięcia Stara wystarczało tylko trzech zawodników! Reszta dopingowała. Mimo wcześniejszego remontu auto psuło się bez przerwy. Z czasem awansowało do statusu dziewiątego członka wyprawy. Zachowywało się jak żywy organizm, do tego

Psyche – stan ducha oddający stosunek do sytuacji.

wyjatkowo złośliwy. I dlatego nazywaliśmy je Demonom. Nie przejmując się zupełnie jego kaprysami, nieustępliwie parliśmy na Zachód, zapatrzeni w odległy, ale powoli przybliżający się cel.

Po prawie tygodniowej podróży, co było swoistym rekordem powolności, przekroczyliśmy szwajcarską granicę, bezceremonialnie przepychając Stara na francuską stronę. Skierowaliśmy się w stronę Chamonix, by wreszcie 12 lutego 1980-go roku dotrzeć do miasteczka Samoëns. Znajdowało się ono na dnie szerokiej, polodowcowej doliny, głęboko wciętej w Alpy Sabaudzkie. O tej porze zdawało się być miejscem sennym, niemal całkowicie uśpionym. Na centralnym, opustoszałym placu, w cieniu bezlistnych jeszcze platanów przycupnęły liczne knajpki. Kończyły się tutaj wszystkie drogi, więc i my musieliśmy zajechać. Niespodziewany ryk starachowickiego potwora poderwał spłoszone gołębie a za oknami pojawiły się zdziwione twarze. Grzegorz wykonał fantazyjną rundkę i zaparkował pojazd na samym środku. Wieśniacy wyszli na zewnątrz. Trzymając w ręku nieodłączną szklanczkę wina, z przejęciem komentowali każdy nasz ruch, co można było wywnioskować po charakterystycznej gestykulacji i ruchach sumiastych wąsów. My tymczasem żwawo wyrzucaliśmy spod podwiniętej plandeki kolejno wszystkie skrzynie i bębny. Nastąpił nieodłączny element wypraw samochodowych, tzw. przepak, czyli obrazowo mówiąc, wyrócenie zapakowanego bagażu do góry nogami, w imię iluzorycznego i nigdy nieosiągalnego porządku. Korzystając z obszernego miejsca i ostatnich promieni zachodzącego słońca, zapakowaliśmy w plecaki żywność i inne rzeczy pierwszej potrzeby. Byliśmy gotowi!

Przepak w Samoëns





PODEJŚCIE

Samoëns było kiedyś pasterską osadą, jakich wiele przez stulecia funkcjonowało w Alpach. Na górskich halach wypasały się owce i krowy. Górale utrzymywali się z wyrobu sera oraz sprzedaży skór i mięsa. Z czasem jednak moda na górską turystykę i sporty narciarskie wymusiła zmianę funkcjonowania miasteczka. Pojawiły się zagospodarowane szlaki – letnie i zimowe, wyciągi, agencje turystyczne, hoteliki i knajpki, a więc cała ta wycieczkowa struktura, która szybko i skutecznie zdeterminowała wygląd większości alpejskich osad. W czasie sezonu rozrastały się one gwałtownie i pęczniały, łudząco przypominając zatłoczone miasta, z których – rzekomo w poszukiwaniu ciszy i przyrody – pouciekali ich mieszkańcy. Szczęśliwie trafiliśmy na „martwy” okres przedwiośnia, dzięki czemu byliśmy w górach osamotnieni.

Ponad miasteczkiem wbijała się w niebo potężna skalna baszta Aquille de Criou, sięgając wysokości 2207 metrów. Stanowiła ona kulminację dużego górskiego masywu, którego prawie pionowe zbocza słynęły ze swej wyjątkowej lawiniastości. Ruszyliśmy w jej kierunku, przepychając prawie dosłownie naszego Stara przez wąskie uliczki. Odprowadzały nas podejrzliwe spojrzenia górali, dyskretnie wychylających się z okien swych domostw.

Górska droga szybko skończyła się i zaparkowaliśmy Demona na parkingowym placu, na wprost naszej podejściowej doliny Grands Pois. Wokół rósł młody las bukowy. Pozbawiony zieleni, ponury szpaler tworzył pozorną ścianę, odgradzającą nas od gór. Sino-czarne, rozgrzane słońcem pniaki wytopiły w zalegających jeszcze resztkach śniegu czarne misy. Wyraźnie można było odczuć wiosnę; a to w świeżym oddechu ciepłego powiewu, w wesołym szczebiocie uwijających się między gałązkami sikorek czy w zieleniejących tu i ówdzie, nieśmiało rozchylających swe pąki roślinach runa. Wrażenie było tym silniejsze, że korony drzew, mimo że bezlistne, dość skutecznie zasłaniały ośnieżone szczyty Alp.

Szlak prowadził początkowo wzdłuż narciarskich torów, by potem łagodnymi zakosami niepostrzeżenie piąć się w górę. W wielu miejscach leżały stare lawiniska. Uwięzione w ścianie lasu, konały w ciepłych promieniach wiosennego słońca, powoli kurcząc swoje groźne cielska. W tych miejscach odruchowo podnosiliśmy głowy do góry. Baszta *de Criou* zdawała się wisieć tuż nad nami, przesłaniając spory kawał nieba. Chwilowo było spokojnie. Ocieplenie w znacznym stopniu wyczyściło żleby z zalegających zimowych śniegów. To jej lawiny utrudniały dostęp do otworów jaskini Jean-Bernard, a czasem wręcz blokowały dojście. Dwukrotnie też zniszczyły schronisko. Teraz już lepiej rozumiałem jakie znaczenie ma w tych górach słowo „szczęście”.

Teren spiętrzył się i z każdym krokiem nabieraliśmy wysokości. Tylko coś ten plecak.., hmm.., jakby zanadto dopakowany. A może coś nie tak z kondycją? – Pewnie jedno i drugie. Krajobraz zmieniał się stopniowo, wraz z kolejnymi metrami pionu ukazując różnorodne formy przyrody. Na stromych stokach ostały się stare drzewa, szczęśliwie jak dotąd niedostępne dla drwali. Sędziwe buki były przygarbione i poskręcane przez wiatry, straszyły tajemniczymi oczodołami dziupli i groźnie machały rosochatymi gałęziami, zniecacka zrywały czapkę z głowy wędrowca i czepiając się natrętnie ubrania lub plecaka, zmuszały do ukłonu. Stopniowo na wątlej ścieżce zaczęło przybywać śniegu i dość szybko zostaliśmy zmuszeni do torowania szlaku. Tempo podejścia wyraźnie spadło. Niepostrzeżenie piętro regła dolnego zostało zastąpione przez regiel górny.

Miejsce ciepłolubnych buków i jodeł zajęły świerki i modrzewie. Ich zielone, regularnie trójkątne sylwetki były otulone białym welonem, spod którego zwisały delikatne, brzemienne szyszkami gałązki. Splątane z długimi brodami porostów, tworzyły nieprzebytą gęstwinę. Wokół panowała zamrożona cisza uspionej przyrody, czasem tylko przerywana łoskotem spadającego kamienia, wytopionego z zalodzonych ścian Ponte du Tuet. O występowaniu zwierząt świadczyły nieliczne łańcuszki tropów, z rzadka przecinające szlak. Należały najczęściej do zajęcy bielaków i gronostai. Wśród zielonych gałęzi uwijały się drobne mysikróliki, zaznaczające swą obecność delikatnymi gwizdami.

Świerkowy bór pochylił się, jakby zgarbił, i karlejąc stopniowo wraz z wysokością, zniknął ostatecznie pod zimową pierzyną. Śnieżny szlak prowadził dalej ostro w górę, przecinając dziesiątkami ukośnych trawersów pagórkowate zbocza *du Foillis*. Cały widoczny świat stał się nagle dwukolorowy, białoniebieski. Czasem tylko, na kontakcie jasnych bałuch* i błękitnego nieba dawało się zauważyć przygarbione, czarne przecinki naszych postaci, mozolnie pnące się do góry.



*Pagórkowate zbocza
du Foillis, ze schroniskiem
w środkowej części*

Lubię długie podejścia. Człowiek ma wtedy sporo czasu, zarówno na przemyślenia, jak i na kontemplację otoczenia. Można zanurzyć się we własnych myślach, oderwać od rzeczywistości, ba... oderwać ciało od duszy! Nogi, jakby nie moje, same wybierały dogodny teren i kolejno przebierając i pocąc się z wysiłku, dźwigały cały ciężar wyżej. Natomiast uwolniony duch wędrował gdzieś wysoko po górskich obłokach, zapatrzony w marzenia czy utopiony we wspomnieniach, zdawał się swoją nieobecnością sprawiać ulgę strudzonemu ciału.

Pamiętam szczególnie dzień 16-go lutego. Zbiegliśmy całą grupą na dół. Pochłonięci pakowaniem plecaków, nie zauważyliśmy nadchodzącej szybko zmiany pogody. Wkrótce ciężkie od wody, czarne chmury przysłoniły niebo. Należało się pospieszyć z wyjściem albo liczyć z biwakiem na pace auta. Ale śpiwory zostały w schronisku. Wyszliśmy. Na ramię wór, w tył zwrot i marsz w górę! Najpierw rażno, prawie biegiem – bo po płaskim – potem stopniowo coraz wolniej i wolniej, aż rytm chwytanego łąpczywie oddechu zrównał się z rytmem kroków. Deszcz okazał się szybszy i serie

Bałucha – oble wyrzucenie terenu górskiego, góra o zaokrąglonym kształcie.



U podstawy baszty Aquille de Criou

przeźroczystych pocisków rozpoczęły ostrzał. Zwarta początkowo grupa rozsypała się na mniejsze. Wędrowałem sam, przeklinając pod nosem pogodę. Ubranie, teoretycznie nieprzemakalne, było dokładnie przemoczone, choć nie wiedziałem czy było to zasługą deszczu, czy potu. Na czubku nosa tańczyły kolejne krople wody. Za zaparowanymi okularami majaczyły sylwetki świerków, bijąc po twarzy giętkimi niczym baty gałęziami. Powoli zapadał wieczór i w świetle czołowej latarki wyławiałem błękitne cienie śladów, zostawionych przez maszerujących przede mną kolegów. Powyżej granicy lasu zamiast deszczu spadał z nieba mokry śnieg. Z powodu jego wielkich, białych płatków i mlecznej mgły, jaka niespodziewanie opadła, widoczność obniżyła się do paru metrów. Należało przyspieszyć, póki jeszcze był widoczny szlak. Tym bardziej, że uszy nieustannie drażnił ponury pomruk budzących się do życia lawin. Tam wysoko przypominała o swoim istnieniu niewidoczna, kilometrowa ściana Aquille de Criou. Jej strome żleby i depresje nie miały żadnych szans na zatrzymanie ciężkiego od wody śniegu, toteż kolejne dostawy śmiertelnie groźnego, białego całunu szybko zsuwały się w dół.

Jeszcze w kraju wiedzieliśmy, że w czasie zimy dojście do schroniska jest bardzo niebezpieczne. Ustalone tory lawin wielokrotnie przecinały podejściowy szlak. Tak było zawsze. Do schroniska prowadziła tylko jedna droga i nie było innego wyjścia jak... przywyknąć. Słyszając spadające w oddali lawiny czułem się nieswojo, tym bardziej że ten szybujący dotąd w obłokach duch nagle postanowił się ukryć w najbardziej schowanych zakątkach ciała. Nie ma co ukrywać – po prostu tyłek trząsł się ze strachu. Będąc już wysoko nad lasem, usłyszałem tuż nad sobą wyjątkowo głośny, przeciągły zdawałoby się do nieskończoności, grzmot. Byłem bezradny niczym dziecko. Nawet nie wiedziałem, w którą stronę uciekać. I tak bym nie zdążył. Lawina przeszła niedaleko. W powietrzu dało się wyczuć delikatne drżenie. Po plecach przeszły ciarki, skronie zlały się zimnym potem, a pewnie i włosy stanęłyby dęba, gdyby nie czapka. Mimo wyczerpania przyspieszyłem. Zapadając się po kolana i utykając w zaspach, w końcu dotarłem do schroniska.

PODCHODY

Schronisko *du Foillis* było przyklejone do urwistego stoku niczym jaskółcze gniazdo do ściany. Jego budowniczo wie z pewnością dobrze pamiętali losy dwóch poprzednich schronisk, których szczątki dotąd poniewierały się w rumowiskach położonych niżej żlebów. Dlatego to obecne miało specjalne, przeciwlawinowe wzmocnienia konstrukcji. Tylna, dostokowa ściana była zespolona z krawędzią skalnego progu, a pochylony ku dolinie dach stanowił jakby jego przedłużenie. Każda, spływająca tędy lawina powinna przeskoczyć przez ten budynek lub zsunąć się po dachu. Przynajmniej tak wynikało z wyliczeń.

Schronisko należało do oddziału Club Alpine France, mieszczącego się w Samoëns. Było ono niezagospodarowane i w zimie formalnie nieczynne. Jeszcze będąc w kraju, listownie uzgodniliśmy zasady korzystania z tego obiektu. Gdy ekipa samochodowa dotarła na miejsce, u góry już gospodarowali koledzy z grupy kolejowej. Dysponowaliśmy dwoma sypialniami i obszerną świetlicą – jadalnią. Oczywiście, ogrzewania nie było, podobnie jak elektryczności i wody. Funkcję kaloryferów spełniały nasze puchowe ubrania i śpiwory. Do oświetlenia używane były lampki karbidowe, świeżo kupione u samego Fernanda Petzla i zwykłe świeczki. Wodę uzyskiwano ze śniegu. Pochłaniało to mnóstwo gazu i czasu. Na szczęście uczynni gospodarze pozwolili wykorzystać schroniskowe zapasy butanu. O tak prozaicznej czynności jak mycie można było na jakiś czas zapomnieć. Tylko Ewa Wójcik, jedyna kobieta w ekipie, miała w tym temacie pewne zrozumiałe względy.

Najważniejszym miejscem w schronisku był długi, drewniany stół. To przy nim mieliśmy spędzić większość czasu, prowadząc niekończące się rozmowy i uczyć. Jedno i drugie było bardzo absorbujące i twórcze, a poza tym przesuwało „na później” przykrą



W schronisku: A. Bałas, M. Czyżewski, H. Nowacki, K. Szych, St. Baraniewicz, K. Hancbach, Z. Rysiecki i J. Orłowski

chwilę wyjścia na akcję. Zmęczeni dotychczasowymi transportami, ochoczo zasiedliśmy na ławach, tym bardziej że byliśmy już prawie w komplecie. Jedyne Ewa buszowała gdzieś w kuchni. Zaraz też rozległy się stamtąd pełne zachwyty okrzyki:

– Patrzenie, co oni tu mają! Dżem pomarańczowy, pasta orzechowa... O Boże! Jakie to pyszne ...

– Puma! To przecież schroniskowe żarcie – obruszył się Orłowski. – Mamy własne zapasy. Tylko musimy je tu przynieść.

Ewa jednak nie poddała się łatwo i dalej, z dziecinną ciekawością oglądała nieznaną w Polsce frykasy, których już same kolorowe opakowania powodowały ślinotok. Na szczęście te zabawki szybko się jej znudziły i zajęła się przygotowaniem kisielu. Była zgrabną brunetką w okularach, z długimi włosami upiętymi w kucyki. Potrafiła niekiedy, z dużym uporem i zacięciem opowiadać o swoich przygodach, ale nie tych.., noo.., tych typowych dla jej płci, lecz jaskiniowych. Niejeden facet zdziwiłby się bardzo, gdyby zobaczył Ewę w akcji, jak z ciężkim plecakiem pokonuje podziemne przeszkody, z szybkością i gracją, jakby to nie była jaskinia, lecz wybieg dla modelek. Właśnie dlatego była nazywana Pumą.

Tymczasem Janek, powszechnie nazywany Wasylem, powrócił do tematów bardziej organizacyjnych. Przez wiele lat pracował jako nauczyciel i był z tego powodu lekko zmanierowany, wręcz uczulony na pilnowanie porządku i zasad. Tym bardziej, że pod nieobecność Ciszewskiego pełnił obowiązki kierownika. A funkcja ta w początkowym okresie wyprawy była wyjątkowo stresująca.

– Krzysiek! Może zajmą się sprzętem? Trzeba go posegregować i policzyć – akurat zaproponował zajęcie Hancbachowi. Nie mógł zresztą trafić lepiej, gdyż Bańbuła, jak nazywaliśmy Krzyśka, był niedoścignionym wzorem pracowitości. Inna rzecz, że i tak by te porządki zrobił po swojemu, nawet jeżeli wcześniej ktoś inny to wykonał. Czkało mu się tutaj przyzwyczajenie, jakie wyniósł z wieloletniej praktyki szkoleniowej, kiedy to jako instruktor, z wyjątkowo flegmatyczną cierpliwością nauczał, poprawiał, prostował i wychowywał niezliczone rzesze kursantów. I tak już mu zostało, nawet w sytuacji, gdy znalazł się wśród samych instruktorów. Poprawiał wszystkich a jak się zapomniał, to i samego siebie. Było to na szczęście nieszkodliwe skrzywienie, dostarczające wielu powodów do śmiechu i żartów. Nieporównywalnie większy problem niż porządkowanie, stanowiło samo wyniesienie sprzętu. Początkowo planowaliśmy wynająć do tego helikopter, ale wraz ze wzrastającą liczbą samochodowych napraw i kosztów, plany te musiały być zweryfikowane. Tak więc czekała nas seria transportowych podejść, co zresztą nie było takie złe, zwłaszcza dla naszej kondycji i aklimatyzacji.

Znowu otworzyły się drzwi schroniska i wraz z zimnym podmuchem, weszła kolejna grupa. Gorące powitania, śmiechy i radość.

– Słuchajcie! Opisali nas w gazetach! – jeszcze z progu krzyknął Mikołaj, wyszarpując z kieszeni złożony papier. – Jesteśmy sławni! – roześmiał się przy tym jakby z przekąsem, zawieszając głos w próżni.

– Nie za wcześnie? Przecież dopiero przyjechalśmy.

– Pokaż i przetłumacz wreszcie, co tam jest!

Mikołaj był najmłodszym uczestnikiem wyprawy, za to pochodził z rodziny o dużych tradycjach speleologicznych. Jego nieżyjący już ojciec – Oleg – należał do legendarnego Klubu Grotołazów*. Potem wyemigrował na Zachód. Stąd Małolat znał parę języków

Klub Grotołazów – pierwsza po wojnie polska organizacja zajmująca się tatelnictwem jaskiniowym, założona w Krakowie w 1950 roku przez Kazimierza Kowalskiego, Ryszarda Gradzińskiego, Macieja Kuczyńskiego, Włodzimierza Starzeckiego, Olega Czyżewskiego, Przemysława Burcharda i Wacława Szymczakowskiego.

i pełnił na wyprawie funkcję tłumacza. Ponaglany przez chłopaków, nie dał się długo prosić, tym bardziej że krótki tekst notatki umiał już na pamięć. Zaraz po naszym przybyciu do Samoëns lokalna prasa zamieściła anons: „... Po Czechosłowakach przyjechali do Jean-Bernard Polacy, którzy podejmą kolejną próbę przejścia systemu...”. Obok było zamieszczone zdjęcie naszej grupy, tajniacko zrobione podczas przepakowywania samochodu, i to co nas najbardziej w tym zaskoczyło, to podpis: „Polacy sprawdzają czy wódka w plecakach równo leży.”!?!?

– To pieprzone żabojady! – zapienił się Kazio Szych, żywiołowy goprowiec z Zakopanego, gotów w każdej chwili z czekaniem w rękę zbiec do redakcji brukowca. – Zdradzili nas za Napoleona, zdradzili w trzydziestym dziewiątym i teraz...

– ...teraz to my im pokażemy – podchwycił Wasyl – jak założymy dziurę.

Jeszcze nie wiedzieliśmy, że z tym także wiązały się przykre niespodzianki. W roku 1980 do jaskini Jean-Bernard prowadziło siedem otworów. Aby zrealizować cel wyprawy, należało znaleźć i wygrzebać spod śniegu co najmniej dwa. Szczególnie ważny był otwór B-21, najwyżej położony, od którego zaczynała się rekordowa głębokość. Grupa pociągowa miała za zadanie skontaktować się z Francuzami z Lyonu i wygzekwować, uzgodnioną korespondencyjnie obietnicę pokazania tych miejsc. Ale wbrew umowie, gospodarze zaprowadzili naszych tylko do dolnego wejścia. Zapytany o to, wyraźnie zdenerwowany Rysiek Knapczyk, podrapał się po zmierzwionej czuprynie i niepewnie rzucił w stronę Wasyla:



Ryszard Knapczyk „Kiepu”

– Mówili, że się nie da, ...że za dużo śniegu. Dobrze, że chociaż pokazali otwór V-4bis.

– Niedobrze! – odparł Orłowski. – Przecież wiesz, że nie interesuje nas przejście jakiegoś tam „fragmentu” jaskini. To już zrobili Słowacy. Może Młody coś namieszał z tłumaczeniem?

– Żartujesz. Przecież wiesz, że Mikołaj kończył szkoły w Szwajcarii.

– Co? Czyżby ktoś kwestionował mój francuski? – obruszył się Czyżewski. – Tu nie może być żadnej pomyłki – podkreślił stanowczo. – Po prostu żabojady nie chciały nam pokazać najwyższego otworu.

– Gdyby tak było, to by nas nie zapraszali. – Wasyl uparcie bronił nadszarpniętego autorytetu gospodarzy. – Jutro pójdziemy do góry i sami się przekonamy. Zresztą – uśmiechnął się tajemniczo – mamy pewnego „haka” na tę dziurę.

Fakt odmowy wskazania lokalizacji otworu B-21 rzucił cień na wyprawę. Tak dobrze wszystko dotąd szło. Żeby wejść do jaskini trzeba znać położenie jej otworu. To nie były góry, gdzie w przypadku pokrewnego nam alpinizmu, atakowany szczyt zazwyczaj jest widoczny z daleka. Po pokonaniu dużo trudniejszych, zdawałoby się, przeszkód mieliśmy się poddać z tak prozaicznej przyczyny i to zaraz na początku? Co powie kierownik, jak w końcu do nas dotrze? I jak my się wytłumaczymy po powrocie do kraju? Myślę, że najbardziej właściwym będzie tu zacytowanie przysłowia o psie ogrodnika, który pilnując sadu, sam nie zjadł i drugiemu nie dał. Francuzi zawsze mieli o sobie wysokie mniemanie i uważali siebie, zresztą nie bez powodu, za najlepszych w świecie grotołazów. O Polakach nikt wtedy nie słyszał, a w nasze sportowe przejście najtrudniejszej jaskini świata nikt nie wierzył. Poza nami, oczywiście.

Zresztą, trzeba uczciwie stwierdzić, że mieli oni podstawy, żeby tak sądzić. Dwa lata wcześniej, w Gouffre Jean-Bernard, wtedy drugiej w świecie jaskini, działali grotołazi słowacy. Była to silna wyprawa narodowa, z doborowym składem i silnym poparciem finansowym, kierowana przez Petra Hipmana. Mimo to nie pokonali oni całej ówczesnej deniwelacji, wynoszącej 1298 m, lecz jedynie wykonali trawers*, wchodząc przez górny otwór B-19, a wychodząc przez dolny otwór V-4. Pokonali głębokość 1008 metrów. W tym czasie zaniepokojony redaktor jaskiniowego pisma *Speleo'* – Krzysztof Kleszyński – napisał: „*Należy stwierdzić, że prymat Polaków w obozie socjalistycznym znalazł się w poważnym zagrożeniu... Jeżeli Słowacy nadal zachowają taką prężność, a my taki bezwład, to wkrótce będziemy mogli wyjeżdżać co najwyżej na odświeżenie Śnieżnej, o ile TPN wyrazi na to zgodę.*”

Rzeczywistość okazała się trochę inna, gdyż na miejscu wyszło, że tak naprawdę Słowacy w tej grocie nie okazali należytej „prężności”. Wyszli z niej z dużym trudem, w stylu określanym przez nas jako „wielka ucieczka”, pozostawiając w środku cały sprzęt i śmieci. Później wielokrotnie, podczas naszych akcji spotykaliśmy porzucone beładnie, poszarpane przez wodę i kamienie strzępy lin i metalowych drabinek, a nawet całe worki odpadków. Brakło sił do ich wyniesienia, zaś czystość i styl akcji zostały mocno nadszarpnięte.

Słowacy czy Polacy? Dla ludzi z Zachodu nie stanowiliśmy żadnej różnicy. Po prostu dwa egzotyczne – nie wiadomo: kraje czy republiki – z odległego, zamkniętego przed światem obozu. Echa naszych wartościowych speleologicznych odkryć czy sportowych rekordów nie docierały tutaj. Po nieprzyjemnych doświadczeniach ze Słowakami Francuzi z pewnością niezbyt chętnie godzili się na powtórne odwiedziny w ich jaskini. Pamiętajmy, że oni również mieli ambicje sportowe i na pewno ostrzyli sobie zęby na integralne przejście tej grotty. Przecież nie tak dawno, bo w roku 1978, dokonali pierwszego całościowego przejścia Gouffre Pierre Saint-Martin. Wtedy ta pirenejska jaskinia, z głębokością 1332 metrów, była najgłębszą w świecie. Obecnie, wraz ze zmianą prowadzenia, nadarzyła się okazja na powtórzenie tego rekordu w Gouffre Jean-Bernard. Ale teraz, jakimś dziwnym zbiegiem przypadków, byliśmy tutaj My! Pewnie w mniemaniu Lyonczyków nie stanowiliśmy poważnej konkurencji, ale tak na wszelki wypadek, aby się ubezpieczyć i na sto procent zachować ten temat dla siebie, postanowili zrobić taktyczny zwód i zwalając wszystko na warunki śnieżne, nie pokazali najwyższego otworu.

Chociaż...? W górach jest wszystko możliwe i może rzeczywiście ten nieszczęsny otwór był nie do odnalezienia. Ale nawet nie próbowali go szukać! Z drugiej strony rzecz

Trawers – wspinaczka (przejście) w kierunku poziomym lub skośnym, także przejście jaskini pomiędzy jej otworami.

biorąc – przysłali nam przecież zaproszenie do przyjazdu i zezwolenie na działalność. Więc choćby za to powinniśmy być wdzięczni. I byliśmy! Mimo to bardzo sprytnie zabezpieczyliśmy się. Dlatego...

Pół roku wcześniej, w lecie 1979 roku, tuż po przyłączeniu jaskini B-21 do systemu Jean-Bernard, przebywał w Alpach Sabaudzkich „nasz człowiek” – Janusz Śmiałek z Krakowa. Znakomity taternik i ratownik – legendarna postać w naszym środowisku. Co prawda, wiek już mu chyba nie pozwalał na udział w akcji sportowej, ale na swój sposób miał w niej niebagatelny udział. Otóż wykonał on fotografie okolic otworu B-21. Następnie na utrwalonych w ten sposób górskich grzbietach wytypował cztery punkty. Połączone ze sobą, tworzyły dwie linie, przecinające się dokładnie nad otworem jaskini. Mieliliśmy te zdjęcia ze sobą i to o nich podstępnie myślał Wasyl.

13-go lutego, jakby wbrew przesądom, wyruszył w góry pierwszy rekonesans – Janek Orłowski i Rysiek Knapczyk. Trasa prowadziła przez kopulaste bałuchy *du Foillis*, ciągnące się w nieskończoność coraz wyżej. Pokryte były głębokim, kopnym śniegiem, w którym grzęzły nogi. Pewnym niepokojącym urozmaiceniem wędrowki były stare lawiniska, spoczywające w niektórych depresjach. Po czterech godzinach 700-metrowego podejścia znaleźli się w podszczytowej grani Ponte Rouse des Chambres,



położonej na wysokości około 2200 m n.p.m. Gdzieś tutaj, pod dwumetrową warstwą śniegu znajdowała się wlotowa studzienka do jaskini B-21, poznana pół roku wcześniej jako najwyżej położony otwór Gouffre Jean-Bernard. Rozejrzeli się. Dookoła, jak okiem sięgnąć, ścieliły się łagodnie pofalowane pagóry płaskowyżu, których oślepiająca biel nigdzie nie była zmacona jakimkolwiek podejrzany cieniem.

– Kiepu! Przytrzymaj mapę – Wasyl wyciągnął z kieszeni plecaka kompas i foliową kopertę. – Nooo... Pierrociki! Zaraz się okaże... – zgrabiętymi z zimna rękami obracał wyciągnięte fotki, w tej chwili największy skarb wyprawy. – Poszukajmy tej igły w stogu siana!

Nie było to łatwe zadanie. Jeden namierzał punkty na grani, drugi ustawiał się na ich osi. Kiedy już została wyznaczona jedna linia, to samo należało powtórzyć z drugą. Powoli nieskazitelnie czysta, śnieżnobiała kartka górskiego plateau* pokrywała się chaotycznym rysunkiem wydeptanych tropów. Świadomość i *psyche* chłopaków gniotły wyobrażenia wielu krasowych, ukrytych pod śniegiem studni, nad którymi oni ryzykownie się miotali. Czy aby któraś nie okaże się pułapką niczym jakaś szczelina na lodowcu. Jedna taka niecka, ot – niewielkie zagłębienie w zaspie, pasowała jak ulał do pomiarów. Wbili w nią traser i zeszli na dół.

Następnego dnia, w nieco liczniejszej grupie, obciążeni sprzętem, uparcie pięliśmy się do góry. Przenikliwie ostre choć zimne słońce zapalało na śniegu miliardy skrzących się gwiazdek. Ich odbite promyki raziły oczy, mimo ciemnych, lodowcowych okularów. Pogoda idealnie pasowała na podejście.

Po zdobyciu około 400 metrów pionu dotarliśmy do otworu V-4bis. Ten akurat został wskazany przez gospodarzy, więc już od paru dni przekopywaliśmy się przez śnieżny korek, dość głęboko zatykający otwór jaskini. W miarę powiększania wykopu obok rosła góra wydobytego śniegu. W końcu puściło. Zbyszek Rysiecki ze Staszkiem Baraniewiczem szybko



Plateau – (fr.) wysoko w górach położona, w miarę płaska powierzchnia o znacznych rozmiarach.

wskoczyli w kombinezony i jeszcze szybciej, niczym bobsleiści, znikli w niebieskawym tunelu. Mieli zorientować się w najbliższych partiach jaskini oraz znaleźć dobre miejsce na biwak.

Ruszyliśmy dalej, na zmianę przecierając szlak w kopnym śniegu. Na nieskalanej dotąd białej powłoce śnieżnych kop pozostała błękitna bruzda. Alpy kąpały się w wiosennych promieniach. Nagrzane, południowe stoki Ponte du Tuet wypuszczały porcje kamieni z lodowych, poluzowanych przez słońce uchwytów. Niewielkie lawinki dodawały trochę ożywienia tym górcom, ciągle jeszcze zanurzonym w zimowym letargu. Na szczęście, urwista grań Aguille de Criou rzucała zimny cień na maszerującą grupę i mieliśmy nadzieję, że nie otrzymamy od niej żadnego prezentu. Znając drogę, podchodziliśmy krócej – tylko dwie godziny. Widoczność była znakomita i pozwalała łatwo odnaleźć się w przestrzeni. To jednak nie oznaczało, że zawsze tak będzie. Góry są niezwykle zmienne. Śnieg może zasypać ślady, a zadyмка uniemożliwić orientację. Dlatego dźwigaliśmy sporą wiązkę traserów. W pewnych odstępach, zwłaszcza w miejscach mylnych i potencjalnie niebezpiecznych, były wbijane półtorametrowe rurki aluminiowe, u góry owinięte odblaskowym papierkiem. Pamiętaliśmy dobrze o nie tak dawnej przygodzie Słowaków, kiedy po wyjściu z jaskini długo i ryzykownie błądzili w zamieci, zanim trafili do schroniska.

W końcu dotarliśmy na miejsce. Kazik Szych wbił dwa czekany w twarde, nawiany przez wiatr śnieg, a ja wyciągnąłem z plecaka linę, do końcówki której zaraz przywiązałem się Wasyl.

– Tylko czujnie asekuruj! Wiesz, że dziura zaczyna się studnią. Jak będę chodził po korku, to wszystko może polecieć...

Kazio roześmiał się głębokim basem, wypiął pierś do przodu i wskazał na błękitny krzyż goprowskiej odznaki:

– Spokojna głowa, Stary! Nie takich już trzymałem.

Orłowski zbliżył się do trasera i wbił saperkę w śnieżną nieckę. Weszła jak w masło. Po paru uderzeniach oderwało się kilka śnieżnych brył i poleciało gdzieś w głąb, wydając przy tym głuchy odgłos. Ciarki przeszły po plecach. Czyżby...?

Ukazał się nieduży, czarny otwór. Pracowaliśmy na zmianę, szybko poszerzając wejście. Ze środka buchnęło ciepłe powietrze. To musiało być TO! Podekscytowani pohukiwaliśmy wesoło, nasłuchując odbitego w środku echa. Bańbuła bez namysłu wskoczył w uprząż i rozpoczął zjazd tak szybko, że ledwie zdążyliśmy zamotać linę wokół czekanów. Myślę, że on był wtedy gotów skoczyć tam nawet bez liny! Wlotówka miała tylko 20 metrów głębokości i sporo śniegu na dnie, więc chyba by to przeżył. Po chwili krzyknął z dołu:

– Znalazłem spity! To jest nasza dziura.

Teraz byliśmy już pewni. Najwyższy otwór jaskini Jean-Bernard został przez nas znaleziony. Brawo Panie Januszu! – stokrotnie uradowani, przy pomocy radiotelefonów połączyliśmy się ze schroniskiem i podzieliliśmy się informacją z resztą grupy. A tymczasem znowu do pracy! Teraz z jeszcze większą motywacją, ze zdwojonym wysiłkiem. Ja z Wasylem poszerzałem otwór studni, zaś Puma z Andrzejem Bałasem wykopali w pobliskiej zaspie głęboką platformę, na której zaraz rozstawili dwa pomarańczowe namioty typu „Turnia”. W środku zostały schowane śpiwory, karimaty i żywność. Tak na wszelki wypadek, gdyby droga do schroniska była utrudniona, ale przede wszystkim jako miejsce odpoczynku i biwaku* dla zespołów szturmowych.

Biwak – prowizoryczny nocleg, w jaskini związany z koniecznością dłuższego pobytu.



*J. Zygmunt na stanowisku asekuracyjnym
J. Orłowski podczas odkopywania otworu B-21*



K. Hancbach zjeżdża do studni B-21

Schodziliśmy w dół w poczuciu dobrze wykonanej roboty, wręcz spełnienia, jakby dalsza część wyprawy była już tylko formalnością. Biegliśmy więc radośnie do schroniska, potykając się i turlając po stoku, żłobiąc w nim charakterystyczne rynny efektownych dupozjazdów.

W schronisku czekał Baczkowski. Miał dla nas niespodziankę w postaci wymyślnego obiadu. W końcu opuścił Demona i mimo nieukrywanej niechęci do gór, jakoś dotarł do schroniska. Tam też szybko zagospodarował kuchenny kącik, skutecznie wypierając Pumę. Nasza dama głównie specjalizowała się w przygotowaniu rozlicznych rodzajów kisielu i budyni, co nie wszystkim smakowało. Oddolna inicjatywa Grześka, poparta niewątpliwym talentem, nadeszła więc w samą porę. Zwłaszcza, że akcje stawały się coraz dłuższe i bardziej wyczerpujące i nikomu nie chciało się przygotowywać posiłków. Niedługo po naszej grupie powierzchniowej wróciła „dwójka” z dolnego otworu. Zbyszek z przejęciem opowiadał o pierwszej na tej wyprawie jaskiniowej akcji w galeriach *de Mais*. Razem z Wierzbą znaleźli miejsce, które od biedy nadawało się do założenia biwaku. Między ścianami korytarza powiesili hamaki. Obok, na skalnej półce zostawili żywność i puchowe komplety, zapakowane w szczelne worki. Pewnym problemem było tylko wejście do hamaków, gdyż należało się do nich wspiąć dwa metry po ścianie meandra. Tutaj zgodnie twierdzili, że nie była to z ich strony żadna złośliwość, a jedynie wymóg terenu. Myślę, że nie wszystkich przekonali.

Czas przy stole mijał bardzo szybko, zmęczenie dawało o sobie znać i niektórzy już wybierali się na nocny odpoczynek. Nagle na zewnątrz, zupełnie niespodziewanie dał się słyszeć tupot butów. Drzwi otworzyły się i do środka spokojnie wkroczył, jakby dopiero co stąd na chwilę wyszedł, sam Andrzej Ciszewski, tak długo oczekiwany kierownik wyprawy. Dość wysoki, dobrze zbudowany trzydziestolatek z trudem zrzucił z pleców przyciężkawe nosiłki*.

– Witajcie chłopcy! – ogarnął wszystkich ciepłym spojrzeniem bystrych oczu, tak jak to powinien zrobić troskliwy ojciec w stosunku do swoich synów.

– A ja...?! – Puma, która przecież nie była chłopcem, z impetem godnym pseudonimu, rzuciła się na szyję bossa, w końcu nie tylko jaskiniowego partnera. Akurat z lekkim zakłopotaniem odrywał lodowe sopele od swej dziko zmierzwionej brody.

Tej nocy długo leżeliśmy w śpiworach, zasłuchani w Andrzejowe opowieści o dalekim Meksyku, skąd bezpośrednio przyleciał. Egzotycznie brzmiące słowa, takie jak dżungla, tequila, a nawet banany, żywo oddziaływały na naszą wyobraźnię, nieco wyjąłowioną codziennym białym widokiem. Interesowało mnie to szczególnie, gdyż pół roku wcześniej bardzo zaangażowałem się w organizację tamtej wyprawy. Nawet byłem jej rezerwowym zawodnikiem. W kośćcówce, jako biedny uniwersytecki asystent, nie wyrobiłem finansowo. Toteż znając dobrze wszystkich jej uczestników, ze szczególną uwagą chłonałem wieści. Wtedy jeszcze nikt nie przypuszczał, że za parę dni będą oni doświadczać nieopisanych trudów wyciągania rannego kolegi z najtrudniejszej jaskini obu Ameryk, zaś wyprawa przejdzie do historii ze znamieniem gigantycznej akcji ratunkowej. Nie wiedząc o tym, z pewnością zazdrościliśmy im jednego – widoku opalających się pańienek na plażach Acapulco.

W końcu opowieści, marzenia i sny skleiły się w chrapiącą jedność. Zakutani w puchowe śpiwory, zasnęliśmy, po raz pierwszy w komplecie. Następnego dnia, a był to 16 lutego, prawie wszyscy zeszli na dół, aby ostatecznie donieść resztę wyposażenia.

Nosiłki – metalowy stelaż do plecaka, często noszony oddzielnie.

To wtedy gwałtownie załamała się pogoda i pozornie łatwe podejście, z racji spadających lawin, zrobiło się wyjątkowo niebezpieczne. Wieczorem, kiedy emocje nieco opadły, Ciszek zarządził naradę.

Wszyscy zebraliśmy się w świetlicy; akurat Grzegorz postawił na stole wielki półmisek, pełen zapiekaneq z resztek krajowego chleba, przystrojonych piramidą konserwowych delikatesów, zaś Kiepu wyciągnął butelkę francuskiego wina. Na drewnianej ścianie, tuż za stołem, rozwiesiliśmy kartki ze szczegółowym przekrojem jaskini*. Mimo dość dużego pomniejszenia skali zajmowały one aż trzy metry rozpiętości. Andrzej stanął obok i kolejno opowiadał. Muszę przyznać, że był świetnie przygotowany do wykładu – wydawało się, że jaskinię zna na wylot, a przecież był w niej tylko raz, na małym, rekonesansowym wejściu w przyotworowych partiach. Niczym jakiś profesor przy tablicy, przedstawiał kolejne elementy podziemnej drogi. Pod jego palcem bezdusznie przesuwaly się poszczególne znaki graficzne, będące niemyym symbolem podziemnej przeszkody. Ciszewski przedstawił swoją koncepcję krótko i treściwie. Miał jasny plan.

– Przejście zrobimy w oparciu o dwa biwaki. Jeden koło otworu V-4 – ten już jest założony – i drugi 600 metrów niżej. Obecnie najważniejszą sprawą jest poznanie jaskini od B-21 do drugiego biwaku oraz transport sprzętu i żywności.

– A także uzupełnienie lin – dodał Orłowski.

– Przecież wiesz, że Francuzi nie zgodzili się na poręczowanie głównego ciągu. Górne partie są stale zaopatrzone w liny.

– Miałem na myśli miejsca, gdzie sznurki mogły zostać uszkodzone – szybko dodał Wasyl.

– Zgadza się – potwierdził Andrzej. – Musimy także być przygotowani na ewentualne niespodzianki, wynikłe z odmiennych metod poręczowania.

– Czyżby to robili inaczej niż my?

– Zasadniczo nie. Ale podczas naszego rekonesansowego wejścia w zeszłym roku zetknęliśmy się z tzw. „stalkami”. Jest to stalowy drut o grubości pięciu milimetrów, którym są ubezpieczone eksponowane trawersy. Często wysoko ponad dnem korytarza.

– I w czym jest problem? – zapytał sceptycznie Bańbuła.

– W tym, że wiele przepinek wykonuje się na wisząco, bez podparcia dla nóg. Praktycznie jest to możliwe i w miarę bezpieczne jedynie z podwójnym lonżem.

– Nie ma sprawy. Weźmie się dodatkową pętlę*...

Sprawa wiszących przepinek była jednak dość istotnym zagadnieniem, o tyle ważnym, że bezpośrednio związanym z bezpieczeństwem. Ten tak zwany lonż*, którego spolszczona nazwa pochodziła od francuskiego słowa *longe*, był po prostu krótką pętlą, stosowaną do osobistej asekuracji. Od czasu swojego powstania, czyli połowy lat siedemdziesiątych, przechodził swoistą ewolucję, podobnie jak związana z nim technika odcinkowa* oraz sprzęt. Początkowo był szyty z rurowej taśmy w kształcie prostego, półmetrowego odcinka, później przybrał formę w kształcie litery **Y**, aż na koniec – wiązaną z liny literę **V**, o różnych długościach ramion. Lonż musiał być wykonany z odpowiedniego materiału, mającego dużą wytrzymałość i dynamikę. Nie każda taśma ani lina nadawała się do tego. Był on jednym z wielu elementów, których umiejętne sto-

Przekrój jaskini – rzut przestrzennego obrazu jaskini na płaszczyznę pionową.

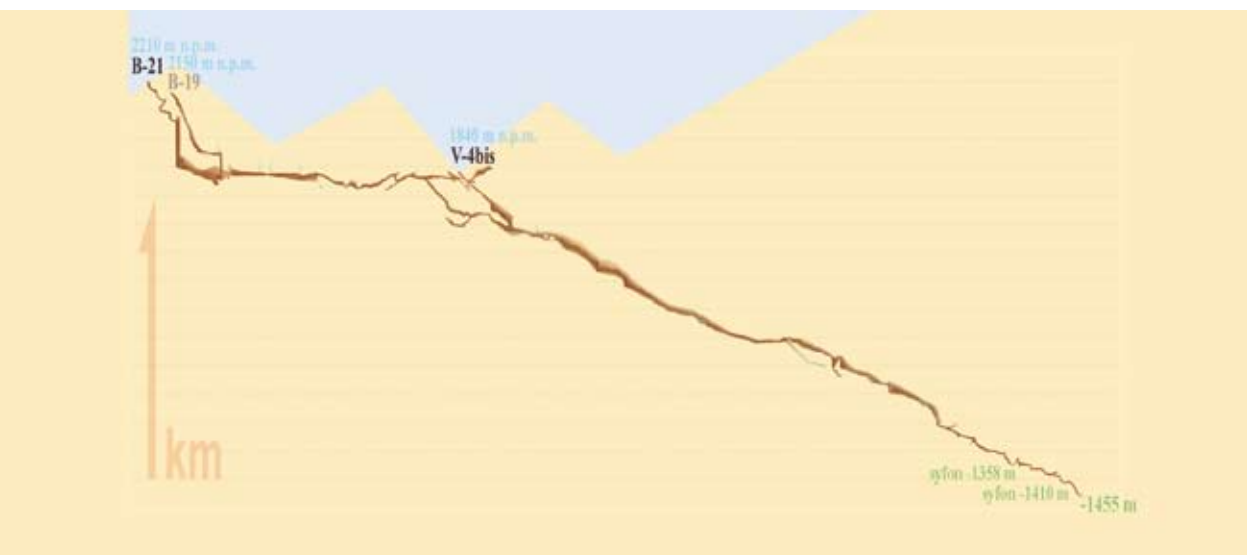
Pętla – krótki, związany końcówkami odcinek liny lub taśmy.

*Lonż (pętla, *longue*, *lonża*) – krótki odcinek liny lub taśmy, dopięty do uprząży; służy do autoasekuracji.*

*Odcinkowa technika – metoda poręczowania jaskiń, której istotą jest zakładanie punktów pośrednich (prze-
pinanek), w celu uniknięcia tarcia liny o ścianę, ominięcia wody oraz podzielenia zbyt długich odcinków
zjazdowych na mniejsze.*

sowanie gwarantowało bezpieczeństwo. W ciągu następnego paru lat, w wyniku braku łonża lub błędnego jego zastosowania zginęło kilku grotolazów.

Planowaliśmy wejść do jaskini trzema zespołami, po czterech zawodników w każdym. Zadaniem pierwszego było przetrwersowanie odcinka, prowadzącego od najwyższego otworu B-21 do V-4. Naprzeciw niemu miał wyjść zespół drugi, w celu znalezienia tej samej drogi od dołu. Ostatnia grupa weszłaby do jaskini przez dolny otwór V-4 i dotarłaby do poziomu „-900”, transportując wyposażenie dolnego biwaku. Wszystkie zespoły miały także uzupełniać francuskie poręczówki*, o ile tego wymagał teren, i znakować drogę odblaskowymi papierkami. Jeżeli te założenia zostałyby zrealizowane, poznalibyśmy w sumie 3/4 jaskini. Składy przyszłych grup szturmowych miały być tak dobrane, aby w każdym znajdował się „specjalista” od określonego odcinka. Czyli każda z tych trzech planowanych grup miałaby sumujące się rozeznanie przeszło 1000 metrów deniwelacji jaskini Jean-Bernard. Było to bardzo ważne założenie, gwarantujące że zespoły nie będą traciły czasu na szukanie drogi w już rozpoznanych odcinkach. Jediną niewiadomą stanowić miał ostatni 350 – metrowy poziom powyżej syfonu końcowego. Wiedząc co nas czeka, przystąpiliśmy do realizacji planu, tym chętniej, że jego pierwszym punktem był solidny wypoczynek.



Gouffre Jean-Bernard – przekrój na podstawie materiałów G.S. Vulcain

Poręczówka – lina ubezpieczająca eksponowane przejście (jak poręcz nad schodami), zwykle używana przez dłuższy czas.

ROZPOZNANIE

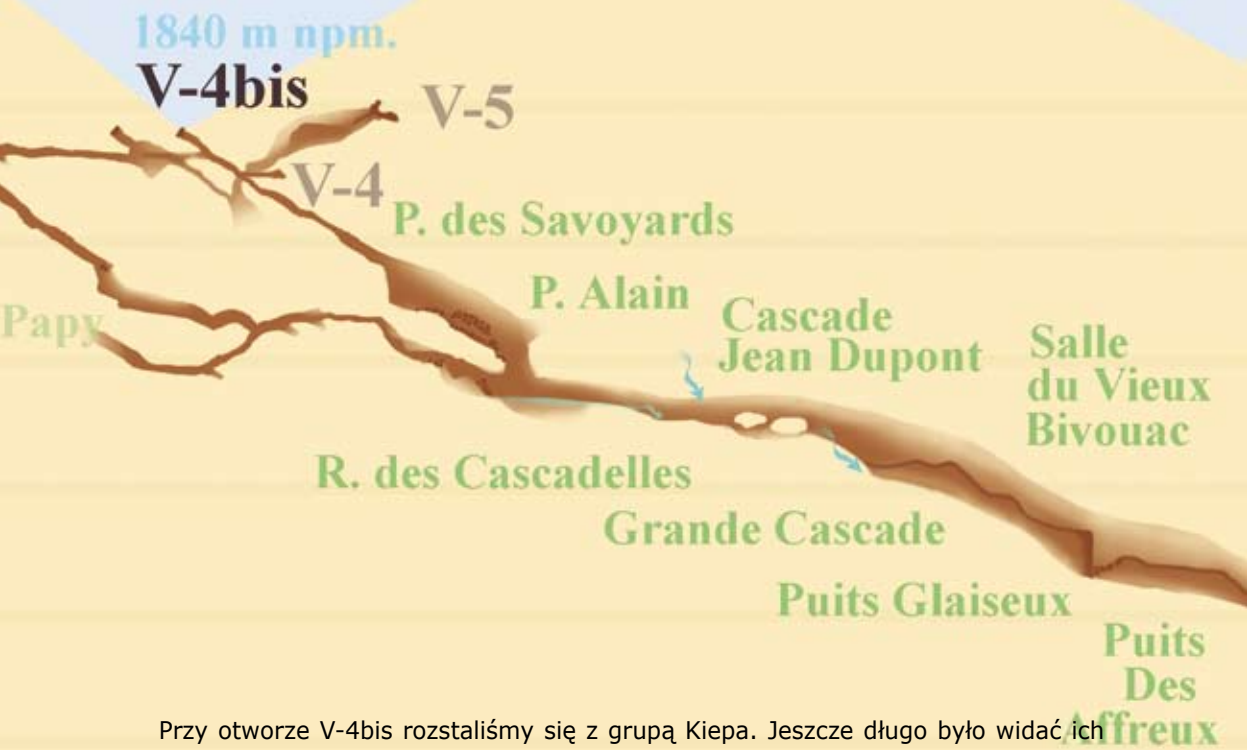
Wszystko co dobre szybko się kończy i tak też minął przyjemny, jednodniowy okres beczynności, choć niektórzy, jak np. Kazio, określali to czasem „ładowania akumulatorów”. W dniu 18-go lutego jako pierwszy powstał Grzegorz i na kilka godzin zniknął w kuchni. Kiedy reszta zawodników mniej lub bardziej niechętnie ściągała do świetlicy, na stołach już dymiły miche z mleczną zupką. Były to kukurydziane płatki na mleku, oprócz tego grzanki z serem i szynką oraz kakao. Dzień był jak każdy inny, nawet świeciło słońce, ale wewnątrz schroniska dawało się wyczuć jakieś napięcie. Jedliśmy śniadanie w niezwykłym, wręcz nienormalnym milczeniu, spokojnie i bez pośpiechu. Czasem tylko, między jedną a drugą łyżką, któryś rzucał niespokojne spojrzenie na przybity do ściany plan podziemnego kolosa. Nie było czego ukrywać. Nawet u tak doświadczonych łojantów jaskinia wzbudzała niepokój. Byliśmy wręcz przygwożdżeni świadomością, że po prostu nie możemy sobie w niej pozwolić na najmniejszy błąd. Żaden wypadek nie miał prawa nastąpić, jakby wbrew nieubłaganemu rachunkowi prawdopodobieństwa. O akcjach ratunkowych lepiej nawet nie myśleć – i tak nie wchodziły w rachubę. Najlepszym sposobem, aby się pozbyć głupich myśli jest działanie. Toteż zbytnio nie zwlekając, koło południa ruszyliśmy do góry.



*Przed akcją:
M. Czyżewski,
J. Orłowski
i P. Rust*

Zgodnie z taktycznym planem, do jaskini wyszły trzy grupy. Do najwyższego otworu B-21 wybierał się Staszek Baraniewicz z Ryśkiem Knapczykiem, Kaziem Szychem i Krzyszkiem Hancbachem. Naprzeciw nim, od dolnego otworu V-4 szła czwórka – Andrzej Bałas, Henio Nowacki, Ewa Wójcik i Mikołaj Czyżewski. Ja byłem w ostatniej grupie, prowadzonej przez samego Kierownika. Z nami był jeszcze Janek Orłowski i Zbigniew Rysiecki.

Początkowo podchodziliśmy razem, rozciągnięci w długiego, malowniczego węża. Po założonym parę dni temu szlaku nie było najmniejszego śladu, więc na zmianę przecieraliśmy nowy, kierując się wystającymi z zasp traserami. Nasz tymczasowy dom, zostawiony pod opieką Grzeška, zmalał do wymiarów sporego kamienia, stopniowo zlewając się ze zboczem.



Przy otworze V-4bis rozstaliśmy się z grupą Kiepa. Jeszcze długo było widać ich garbate sylwetki, powoli wdrapujące się na kolejne kopuły „du Foillis”. Odprowadzaliśmy ich wzrokiem, pełnym niepokoju i ciekawości, aż w końcu znikli za przełączką. Tymczasem rozgrzane podejściem nasze organizmy już trochę wystygły i zimowy chłód powoli i nieustępliwie przenikał do środka. A my, jakby na przekór... Dalejże ściągając z siebie całe to ubranie! W pośpiechu i chaosie! Do naga! Na gołe ciała zostały naciągnięte wełniane, stosunkowo cienkie wdzianka, a na nie wodoszczelne, grube kombinezony. Były to krwistoczerwone „Teksery” – jeszcze „ciepłe nówki”, kupione parę dni temu w fabryczce Petzla. Cena jednego równała się mniej więcej czterem lub pięciu średnim polskim wypłatom miesięcznym, ale według zapewnień Ciszka – *„Tylko ich ochrona dawała gwarancję na skuteczne działanie w tej wyjątkowej jaskini”*. Do kompletu był jeszcze kask, gumki i rękawice. Patrząc na to z pewnej perspektywy, trzeba przyznać, że na akcje jaskiniowe ubieraliśmy się wtedy dość ekstremalnie, znacznie bardziej cienko niż to się dzieje obecnie. Jediną gwarancją utrzymania odpowiedniej temperatury był ruch, więc można powiedzieć, że już samo ubranie wymuszało aktywność, działało jak samoczynna ostroga i doping. Mróz przenikał przez to bez przeszkód, więc po ostatecznym dopięciu uprzęży, zanurzyliśmy się w śnieżnym lochu.

Wstępne partie Gouffre Jean-Bernard miały charakter stosunkowo obszernej pochylni*, częściowo zasypanej śniegiem i zalodzonej. Ześlizgiwaliśmy się nią w dół, zjeżdżając brutalnie na własnych siedzeniach i przy okazji po raz pierwszy testując kombinezony. Po załomach korytarza niosło się echo: szuranie o skałę, łomot toczonych kamieni, tarcie cioranego wora, wesołe nawoływanie, warczące przekleństwa. Swoisty urok podziemnej, zespołowej akcji. Czułem się dobrze i pewnie. Siła i kondycja, zła-

Pochylnia – stromo nachylony korytarz.

pane wcześniej na podejściach, pozwalały na szybkie i pewne posuwanie się w głąb ziemi. Lekki kombinezon nie krępował ruchów i wszystko byłoby wspaniałe, gdyby nie ON. Jaskiniowy wór transportowy! Nadęty od upakowanych konserw, lin, śpiworów i hamaków, ważył co najmniej 30 kilogramów. Był moim nieodłącznym towarzyszem, wręcz cieniem, przywiązany na stałe metrową pętlą, na dobre i złe, raczej na to drugie. Mimo obłych i poręcznych kształtów miał niesamowitą zdolność zaczepiania się o występy skalne i ustawicznego przeszkadzania podczas wspinaczki. Jedyным plusem mojego wora było to, że potrafił cierpliwie wysłuchać nieustannych przekleństw i obelg oraz znieść szturchnięcia i kopniaki. Ale i tak odgryzał się na swój specyficzny, niemy sposób: nieoczekiwanie przybierał na wadze, chłonąc wodę przez wydartą dziurę z każdej mijanej kałuży; zapierał się w zaciskach; wpadał w przewężenia i klinował w nich; zahaczał o występy skalne i trzymał co siłą, aż do rozerwania. W ostateczności mógł się rozpruć czy złośliwie zerwać pasek. Nie wór to, lecz „pot-wór”. Za każdym razem, gdy w jakiejś trudnej jaskini uczestniczyłem w akcji transportowej, nigdy nie byłem pewien: czy ja ciągnę wory, czy one mnie. Była na to jedyna rada, często powtarzana przez Wasyla: „Panowie! Najważniejsze to spokój, opanowanie i precyzja...”

Zigzag

Puits de la Riviere

Dotarliśmy do pierwszej studni – Puits de Savoyards. Nie była zbyt głęboka, jedynie 28 metrów, a więc dokładnie tyle co wlotówka* do jurajskiego Studniska. Za to bardzo obszerna, o surowych kształtach, jakby wyciosanych ogromnym toporem. Wstępna pochylnia wypadała prosto na nią i można było się jedynie domyślić, co tu latem wyprawiała spadająca woda i porwane przez nią kamienie. To dlatego należało zjeżdżać z drugiej strony studni. W ten sposób „było się” poza zasięgiem groźnego wodospadu oraz spadających wraz z nim kamieni. Do stanowiska prowadziła skomplikowana sieć lin i drutów.

Wpiąłem karabinek* od lonża w nylonową linę asekuracyjną, zaś rękami chwyciłem stalkową poręcz. Wisząc w powietrzu, dyndałem nogami w próżni i stopniowo przesuwałem na przeciwną ścianę. Andrzej miał rację. Bez podwójnego lonża byłoby to bardzo ryzykowne. Tymczasem Ciszewski już kończył swój zjazd. Z wysokości 10-tego piętra widziałem słaby odbłask jego przesuwaną się latarki. Światelko macało czarne otoczenie w różnych kierunkach, wyławiając z cienia zarys dalszej drogi.

Wlotówka – studnia wlotowa, będąca jednocześnie otworem jaskini.

Karabinek – metalowy pierścień z otwieranym bokiem, przeznaczony do szybkiego łączenia różnych elementów wyposażenia alpinistycznego.

Z ostatniego spita* wisiała lina zjazdowa. Pojedyncza! Był to dla mnie lekki szok, gdyż ja przez całe swoje dotychczasowe jaskiniowe życie działałem na linach podwójnych, z których każda była jednakowo niepewna. No, ale tu wisiał porządny Mamut Speleo, zapewniający w stu procentach jaskiniowe bhp. Musiałem się tylko sprawnie przepiąć na nią ze stalki, cały czas w pełnym zwisie. – Chyba wszystko w porządku? – zapytałem w duchu sam siebie i na wszelki wypadek jeszcze raz polizałem promieniem latarki całą tę płataninę sznurów i taśm, którymi byłem związany dla własnego bezpieczeństwa. Odpiąłem zapasową asekurację i rozglądając na boki, łagodnie zacząłem opuszczać się w głąb nieznannej czeluści. Lina ze świstem uciekała do góry, wesoło wizgocząc wokół bloczków zjazdowej rolki*. Patrzyłem przyjaźnie na jej kolorową oplotkę*. – Zachooooooooodnia! Dewizowa wartość i atestowana jakość tego sznura skutecznie uspokajała psychikę. Wylądowałem na rumowisku sporych kamieni i zaraz zacząłem szukać dalszej drogi. Gdzieś pod nogami, spomiędzy want i bloków dochodziło przeraźliwe szuranie kombinezonami i dosadne przekleństwa. Odgłosy walki. Były blisko, ale nie mogłem ich znaleźć. Miotalem się nerwowo we wszystkich kierunkach, wciskając w różne szczeliny. Były jednak ślepe albo prowadziły w złym kierunku. Zaparowane okulary i ściekający z czoła pot dodatkowo utrudniały widoczność.

– Wasyl! Jak tu się idzie? Nie mogę do ciebie trafić! – wrzasnąłem w dół, zdenerwowany niepotrzebną utratą sił zaraz na początku akcji.

– Mu-sisz, -sisz, -sz ...zna-leżć-eżć, bum-bum, -um, znak, -ak, -ak ...zro-...-eś, -eś, -eś...??? – niosły się po jaskini zniekształcone echem wskazówki, których nie potrafiłem wykorzystać. Wreszcie dostrzegłem błysk światła w przylepionym do ściany odbłaskowym papierku. Poniżej ukrywał się wąski prześwit, sprytnie przyczajony między kamieniami. Wkopałem tam worek i sam opuściłem się na rękach. Piętro niżej zaznaczył się cień pionowej szczeliny. Wpuściłem w jej gardło wiązkę światła – była nieprzyzwoicie ciasna, ale to właśnie z jej wnętrza dochodziły owe jednoznaczne dźwięki. Trzy metry dalej tkwił zablokowany wór, a obok nieporadnie szamotał się czerwony gumiak, z coraz bardziej słabnącym impetem usiłujący wykopać z zacisku zaklinowany ciężar.

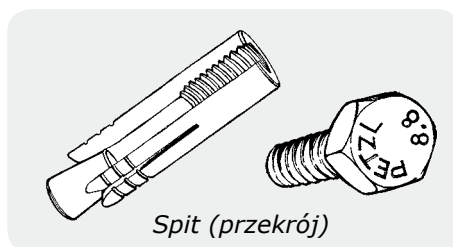
– Czekaj spokojnie! Spróbuję podważyć go z dołu. – całym ciałem wbiłem się w szczelinę, niczym wąż starannie wybierając każde rozszerzenie meandra*. Boki kasku chrobotwały o skałę i bezlitośnie gniotły uszy. Nie można było odwrócić głowy. Jedną ręką miałem wyciągniętą do przodu – klinowałem zaciśniętą pięść – robiłem wszystko, by nie obsunąć się w dół szczeliny. Drugą ręką podtrzymywałem swój nieszczęsny worek, uważając, aby i on nie stoczył się w zwężenie i nie zaklinował. Gdzieś tam z tyłu były także nogi, jakby nie moje, wtłamszone między skałę i worek, szamotały się ciężko, każda na swój rachunek. Zaczepiając o występy, powoli przesuwały cały ciężar do przodu. W końcu uderzyłem kaskiem w coś miękkiego. Wór Wasyla! Pociągnąłem za szleję w bok. Była zaczepiona o naciekowe grzybki. – Teraz! Szarpnięty gwałtownie ciężar podskoczył do góry ze zgrzytem. Zaraz też dosłyszałem stamtąd okrzyk ulgi.

Spit – ekspansywny nit jaskiniowy. Metalowy kołek rozporowy z końcówką = koroną wiertła, osadzony w otwór wywiercony tymże spitem w skale. Służy do przykręcenia blaszki.

Oplotka (koszulka) – zewnętrzna, najczęściej kolorowa osłona liny, chroniąca rdzeń przed mechanicznym uszkodzeniem, światłem i wodą.

Meander – wąski i kręty korytarz, wymodelowany przez swobodnie płynącą wodę.

Rolka – patrz str. 95.



– Odbierz także mój. Trzymaj pętlę!
– ostrożnie przesunąłem worek wzdłuż siebie, podpierając go skutecznie własnym ciałem.

– Nie sięgnę jej. Załóż mi na buta!
– prosta, zdawałoby się, czynność w warunkach jaskiniowych zmieniła się w katorżniczą pracę.

– Co za gówno! Lubię gnój, ale w kupkach... – sarkastycznie komentował niewidoczny partner. – Pewnie tak wyglądała kiedyś droga do komunizmu...

– Żeby nas teraz mamusia widziała...

Wbrew zdrowemu rozsądkowi, zasadom instynktu samozachowawczego i logice przepychaliśmy się przez tę wredną szczelinę coraz niżej, zostawiając za sobą echo przekleństw i złorzeczeń. A przecież to był dopiero początek akcji. Stopniowo poznawaliśmy charakter jaskini i zaczynaaliśmy pojmować, dlaczego do tej pory nie została pokonana. Gdyby spojrzeć z boku na jej przekrój, to można by odnieść mylne wrażenie, że właściwie jest to pozioma jaskinia. Główny korytarz był na całej swej 12-kilometrowej długości lekko pochylony w dół. Wbrew temu, wcale nie był takim normalnym korytarzem, w którym można by spacerować w kapciach. Tworzyła go ogromna, pionowa szczelina, którą należało trawersować na różnych, odpowiednio szerokich poziomach. Właściwego chodzenia prawie wcale tu nie było. Jedynie wspinaczkowe techniki, głównie zapieraczki*. Jak ktoś nie wie czym to pachnie, to niech spróbuje utrzymać się przez kwadrans pomiędzy framugami drzwi swego pokoju, nie dotykając przy tym podłogi.

Wygląd szczeliny świadczył o młodym wieku jaskini i jej częściowo tektonicznym pochodzeniu. To dlatego była taka ciasna. Jej dnem płynął potok, zimą stosunkowo mały, ale latem na tyle znaczący, że prak-

Zalodzone korytarze w pobliżu otworu V-4bis

Zapieraczka – technika wspinaczkowa, wykorzystująca dwie równoległe ściany (np. komin, meander, szczelina); polega na rozpieraniu ciała wg zasady: plecy – stopy+ręce, plecy+ręce – stopy.



tycznie uniemożliwiał wejście. Pewnym urozmaicheniem tego przykrego ciągu były liczne progi i studnie, stosunkowo gęsto podcinające korytarz. Z ciekawości policzyliśmy na planie, ile ich tak naprawdę było. Wyszło powyżej setki i chyba lepiej mogliśmy tego nie wiedzieć. Na progach wisały francuskie liny. Mimo że były to porządne Beale i Mamuty, to każdą z nich należało dokładnie obejrzeć, czy nie była gdzieś przetarta. Potem szybko zjeżdżaliśmy na dół, mając ulotną nadzieję, że znajdziemy tam szersze i wygodniejsze miejsca. Były to jednak tylko marzenia. Szczelina prowadziła dalej i wcale nie miała zamiaru ani się kończyć, ani rozszerzać. Za to wraz ze stopniowo uzyskiwaną głębokością przybywało coraz więcej wody. Coraz częściej droga prowadziła tuż pod stropem korytarza lub trawersowała na pewnej wysokości jego ścian. Miało to na celu ułatwienie marszu w czasie ewentualnego przyboru wody, wynikłego choćby z gwałtownego ocieplenia zimą czy deszczu latem. Kierunek i poziom przemieszczania wyznaczały tzw. stalkowe trawersy. Były to stałe ubezpieczenia w postaci długich ciągów lin asekuracyjnych i metalowych prętów.

– No jak tam? Wolna? – krzyknąłem w ciemność, gdy umilkły odgłosy szamotaniny.

– Chodź! Ale uważaj, bo jest strasznie ślisko. Nie baw się we wspinanie, tylko zrób to na chama! – doradził Zbyszek.

Wpiąłem jednego lonża w stalkę, drugiego w linę asekuracyjną. Było szeroko, więc zarzuciłem worek na plecy i zawisnąłem całym ciężarem na cienkim drucie.

– Psychiczna sytuacja! – pomyślałem i odbijając się nogami od ściany, a rękami podciągając po stalce, szybko przeskoczyłem nad zagadkową, czarną pustką. Wylądowałem na zaklinowanych wantach – rozejrzałem się – poręcze wiodły dalej. Niczym dojrzałe owoce, wisały na nich postacie, objuczone jaskiniowym szpejem*. W krzyżującym się świetle ciekawie rozbieganych latarek, ponury dotąd korytarz nabrał realnych wymiarów i barw. Zrobiło się nawet jakby przestrzenie i malowniczo. Znajome sylwetki podrygiwały i wyginały się dziwnie, jak gumowe pajacyki w rękach rozkapryszonemu dziecku. Gdyby nie fakt, że i mnie to za chwilę czekało, to może bym się roześmiał. Ale byłem już zmęczony. Mokry z wysiłku, o rozdygotanych mięśniach, wypełnionych kwasem mlekowym albo watą, jak kto woli, marzyłem jedynie o ciepłym i suchym śpiworze. Metry, dziesiątki, a nawet setki metrów stalkowych trawersów. Nad ślepyimi studniami, nad jeziorkami, w obślizgłych przełazach, poprzez eksponowane ciasnoty, osłabiające już samym swoim wyglądem. Stalki narzucały poziom przemieszczania, tak jak to zaplanował ich francuski instalator. Wielokrotnie przeklinałem w duchu sposób przymocowania, zwłaszcza gdy np. zmuszały do wciśnięcia się w ciasne zwężenia, jakieś powietrzne, wyjątkowo eksponowane szczeliny w stropie i to w sytuacji, gdy metr niżej było zupełnie przestronnie. Stalki były przekleństwem jaskini, odtąd na zawsze kojarzonym z jaskinią Jean-Bernard. Ktoś mógłby pomyśleć, że skoro było to takie złe, to po co zostało zamontowane. Bez tych „ozdób” zarówno jaskinia, jak i konfrontacja z nią byłaby czystsza. I pewnie miałby rację. Ale bez tych ubezpieczeń, bardzo uciążliwych, ale jednak zwiększających szybkość i bezpieczeństwo akcji, przejście jaskini w ogóle nie byłoby możliwe. Ekipy francuskie musiały sporo czasu poświęcić na zamontowanie takiego druta i także sporo siły na jego przyniesienie. Oporęczowanie tylko jednego parometrowego odcinka mogło zająć kilka godzin pracy. Natomiast późniejsze jego „przechodzenie” – tylko kilka minut. Jest jednak sprawą bezsporną, że korzystanie ze stałych ubezpieczeń zawsze obniża wartość sportowego przejścia jaskini. Nie mieliśmy jednak wyboru. Obowiązywały nas

Szpej – sprzęt wspinaczkowy (jaskiniowy)

ustalenia z francuskimi grotołazami. Zresztą w trakcie podziemnej akcji nikt się nad tym nie zastanawiał. To nie miejsce na tego typu rozważania. Tam po prostu trzeba iść. I tyle.

A swoją drogą, z tymi stalkowymi poręczówkami to był ciekawy patent... Póki co, moje zmaltretowane ręce, słabo chronione przez postrzępione rękawiczki, nie były w stanie utrzymać całego ciężaru, więc z niemiłosiernym zgrzytem piłowałem na tych nieszczęsnych stalkach karabinki asekuracyjnej pętli i z rosnącym niepokojem mierzyłem wzrokiem coraz większą głębokość rowka, wyrzynanego w stalowym owalu. Po akcji sprzęt będzie się nadawał tylko do wyrzucenia.

Wreszcie pod nogami otworzyła się obszerna, mroczna przepaść – Puits Alain – studnia o głębokości 29 metrów. Dotarłem tu jako ostatni z zespołu i moi koledzy albo w niej jeszcze wisieli, albo już zjechali. Gdy zobaczyłem, co oni wyprawiają, aby się dostać do liny zjazdowej, zrobiło mi się słabo. Ubezpieczenia przypominały istną pajęczą sieć. Płatana lin, drutów i pętli; jakieś węzły, co do których nie byłem pewien, czy służyły do czegoś innego niż tylko utrudnienie; i lina zjazdowa, odsunięta na 5 metrów od brzegu studni, zwisająca z czegoś niewidocznego. Złorzeczając pod nosem na francuskie wymysły, długo zastanawiałem się, jak pokonać te przeszkody. A miałem do tego całkiem uzasadnione uprzedzenia. W czasie swojej dotychczasowej „kariery” jaskiniowej działałem w sposób dość archaiczny. Jak większość moich przyjaciół ze Speleoklubu Częstochowskiego, dość sprawnie posługiwałem się powierzchniowym sprzętem taternickim, zaś w jaskiniach bardzo długo „pętelkowałem” na prusikach*, mając w pogardzie co bardziej wyrafinowane przyrządy, które w tamtych czasach najczęściej były domorosłym efektem chałupniczej produkcji. Toteż obciążony takim psychicznym balastem, rzuciłem się w czeluść studni Alaina niczym jakiś desperat. Wcześniej oczywiście, dokładnie sprawdziłem cały swój sprzęt. Wpiąłem lonża, wahałem się i... niczym gigantyczny pająk rozpocząłem wędrówkę po linach. Zawieszony „u jaj” worek transportowy trzepotał się na pętli, jakby był żywą muchą, dopiero co złowioną przez tego pająka. Tyle gimnastyki i wysiłku, aby w czasie zjazdu uniknąć zmoczenia przez okresowy wodospad. Mimo to byłem całkiem mokry, kiedy stanąłem na dnie, i to nie z powodu prysznicy, którego zimą po prostu nie było, lecz z emocji. Pod ścianą siedzieli chłopcy. Akurat Ciszek wyciągnął z kieszeni zwitek planów jaskini. Wygładził na kolanie, rozprostował i wskazał palcem miejsce, w którym znajdowaliśmy się.

– Cholera! Mamy strasznie mały urobek. Zobaczcie ile jeszcze zostało... – z planu wynikało, że ciągle krążymy gdzieś w pobliżu otworu V-4. A tu już minęły cztery godziny akcji!

– Jak tak dalej pójdzie, to ciężko będzie dojść dzisiaj do biwaku – sceptycznie zauważył Wasyl.

Dzisiaj czy jutro? Pod ziemią nie ma to znaczenia, gdyż jest to kraina wiecznej nocy. Termin „dzisiaj” oznacza tylko czas naszej możliwej jeszcze, ciągłej aktywności. W tak trudnym terenie nie byliśmy w stanie działać dłużej niż 15-20 godzin bez odpoczynku. Potem przestawało to już być zabawą, zaś ryzyko popełnienia jakiegoś błędu wzrastało geometrycznie. Owe zakładane 15 czy 20 to i tak było dużo, jak na ogólnie przyjętą normę 8-godzinnego dnia pracy oraz naturalnie odziedziczoną, 12-godzinną, dzienną aktywność. Sprzęt biwakowy mieliśmy co prawda ze sobą ale rozbijanie go zbyt blisko otworu nie wchodziło w rachubę. Nie zastanawialiśmy się długo. Przepełniona wełenka dość szybko oddawała ciepło i zamiast grzać, oblepiała ciało lodowatym kompresem. Trzeba było iść dalej.

Prusik – węzeł zaciskowy służący do autoasekuracji, ratownictwa i wychodzenia po linie

– Czekać! Skończę palić – parząc sobie palce, Zbyszek zachłannie wciągał dym z resztek papierosa. Z nieukrywanym żalem zawinął paczkę Sportów w nylonowy woreczek i schował za pazuchę.

Ruszyliśmy. Trochę z rozsądku, trochę dla rozgrzewki. Korytarz znowu powrócił do swej pierwotnej formy. Wydawało się, że jego zostawiony powyżej studni Alaina odcinek powinien wyczerpać swe zasoby terenowych przeszkód, no bo ileż w końcu można tak łąć? Niedługo okazało się, że była to ledwie rozgrzewka. Upiorna szczelina niczym droga przez mękę, prosto do piekła, wsysała nas w siebie. Dopasowując sobie do złudnego celu swoistą ideę – że pierwsi..., że na sportowo..., że najgłębiej..., – przepychaliśmy się w głąb ziemi, nie zastanawiając się zbyt długo kto nas stamtąd wyniesie, gdy sami nie mamy rady. Byliśmy nieczuli na ból, otępieli ze zmęczenia i... chyba już przyzwyczajeni do tak gęstego nagromadzenia trudności.

Narastający szum wody zapowiadał długo oczekiwaną zmianę. Stopniowo obniżaliśmy poziom zapierania i ześlizgując się między ścianami meandra, dotarliśmy do jego dna. Była to głębokość 270 metrów poniżej otworu V-4, tuż nad kaskadą Jean Dupont. Gdzieś z boku niespodziewanie wypadała rzeka, tworząca ową kaskadę. Latem jest na tyle duża, że praktycznie uniemożliwia przejście. Jej wody pochodzą z wiszącego stawu *du Folly*, który znajduje się w wyższych partiach doliny Grands Pois, pod cyplem Ponte Rousse. Kaskada nie była wysoka, ale za to bardzo urokliwa. Korzystając z rozpiętej poręczówki, dotarłem do stanowiska zjazdowego, wysuniętego daleko poza zasięg spadającej wody. Na szczęście, nie było w tym miejscu ciasno. Woda zawsze przydawała jaskini sporo uroku i ożywienia, mimo że była groźnym i nieobliczalnym żywiołem. W promieniach latarek jej rozbryzgi pryskały na boki, by rozminawszy się ze światłem, na zawsze zniknąć. Jeszcze tylko wesoło zabulgotały pod butami i wpadły w niedostępną szczelinę, pędząc w kierunku syfonu. Nam nie pozostawało nic innego, jak znowu wcisnąć się na odpowiednio szeroki poziom meandra. Chcąc przesuwać się do przodu, należało nieustannie rozpieierać się między ścianami. Ileż to razy bywało, że ta umowna droga beznadziejnie zwężyła się i trzeba było zawrócić do ostatniego pewnego miejsca. Zwykle przylepialiśmy tu kolorowy papierek, jako wskazówkę dla następnych. W tego typu terenie traciliśmy mnóstwo czasu i sił. Kto wie, czy gdzieś w czyjejs podświadomości podstępnie nie lęgło się zwątpienie. Coraz częściej odpoczywaliśmy, tkwiąc bezwładnie w zaciskach, w oczekiwaniu na przypływ energii lub pomoc towarzysza. Upiorny meander zdawał się nie mieć końca i jedynie liczne w nim przerywniki, w postaci progów i kaskad, świadczyły o pokonywanej mimo wszystko drodze.

Jedenastometrowa zaledwie, studnia Puits Glaiseux nie byłaby warta wspomnienia, gdyby nie pułapka, którą przygotowała na swym dnie. Stanowisko było normalne, bez udziwnień, lina także bez zastrzeżeń. Wpiąłem się więc w nią i szybko zjechałem na dół. Było szeroko, więc z rozmachem zarzuciłem wór na plecy i wesoło pogwizdując, ruszyłem do przodu. Ale zamiast zaplanowanego kroku, tkwiłem ciągle w miejscu, jak wmurowany. Mimo próby, nogi ani drgnęły. Natomiast wprawione w ruch ciało runęło bezwładnie do przodu, na tak zwany „ryj”. Ledwo zdążyłem podeprzeć się ręką. A i tak zanurzyła się po łokieć w miękką masę. Gлина była wszędzie. Jej ciastowata konsystencja skutecznie uwieźliła moje buty. Dopiero po dłuższej szamotaninie, z głośnym i dźwięcznym mlaśnięciem odebrałem dwie niekształtne bryły. Każdy następny krok był walką o zachowanie równowagi. Choć na wiele to się nie zdało, gdyż korytarz zaraz zmniejszył swe rozmiary i wrócił do postaci szczeliny, ale tym razem, dla odmiany – poziomej. Żeby „iść” dalej, należało się czołgać i chcąc nie chcąc, całym ciałem zanurzyć w wilgotny kompres błočka. Czerwone

*Phil Rust na stalkowym trawersie
Zjazd do studni Puits de Savoyards*

kombinezony i kaski, lśniące karabinki, wielobarwne taśmy i pętle, a także ręce i twarze, przybrały jednolitą, szarobrazową barwę.

– Nie masz jakiejś chusteczki? Nic nie widzę przez te zasyfione patrzaki – razem ze Zbigiem mieliśmy podobne problemy ze wzrokiem. Gлина była nawet na rękach.

– Mam szajs-papier. Ale jak go wyciągnąć, aby nie pobrudzić? Przecież wszystko jest oblepione – czołgałem się po omacku, ze wstrętem nurzając łokcie i kolana w tym odrażającym, speleologicznym szambie. Przede mną niczym wielkie robaki pełzali Andrzej i Wasyl. Bardziej ich czułem niż widziałem. Dochodziły stamtąd charakterystyczne, dość monotonne odgłosy: mlas-człap, przekleństwo, człap-mlas, przekleństwo, mlask-człap, przekleństwo, itd.

– Zupełne jaja! Dużo widziałem, ale gorszego syfu nie można sobie wyobrazić – autorytatywnie stwierdził Ciszewski.

– To poniżenie godności osobistej! – poprzez warkot ciorania dochodziło sarkastyczne narzekanie Wasyla.

– Dość! – zatrzymałem się i dysząc głośno, uspokajałem rozdygotany oddech. Czyściejszą ręką, tą która była chroniona przez mniej podartą rękawiczkę, zdjąłem zaglinione okulary i rozmazałem brud językiem. Tfu! Wyplułem z obrzydzeniem. Za drugim razem szkło stało się bardziej przejrzyste. Ale jaskinia była tu tak samo odrażająca, zaś nadszarpnięte *psyche* długo jeszcze nie mogło wrócić do swojego miejsca.

Jak na ironię, w pewnym sensie ziściły się tutaj nasze marzenia o jak najszybszym zakończeniu tamtej upiornej szczeliny. Już nie trzeba było się nieustannie rozpierać między jej ścianami. Ale pływanie w błocie też z pewnością do takich marzeń nie należało. Nie wiem co było gorsze. W końcu gliniasty korytarz Zigzac´u doprowadził do Puits de Affreux, co w tłumaczeniu znaczyło dosłownie – Studni Strachu. Wbrew nazwie była ona sympatycznym urozmaicheniem drogi i ze swoją 27-metrową głębokością nie należała do najtrudniejszych. To w ogóle było wyjątkowe w jaskini Jean-Bernard. Wszystkie progi i studnie traktowaliśmy jako miejsca... odpoczynku, gdzie wisząc na linie, można było wygodnie posiedzieć w uprzęży, wyluzować napięte dotąd mięśnie, a nawet zdrzemnąć się na chwilę. Było to zupełnie od-



wrócenie wartości. W tamtym czasie trudności naszych tatrzańskich jaskiń były mierzone właśnie ilością i wielkością przeszkód pionowych. Najczęściej – studni i kominów*. Czyli to co w Gouffre Jean-Bernard stanowiło miejsce najłatwiejsze, tam wyznaczało trudność. Ależ nam się to wszystko pokręciło i powywracało, pozmieniały się kryteria, punkt widzenia i horyzonty. Z każdą chwilą odczuwaliśmy, że uczestniczymy w niezwykłym, może nawet historycznym wydarzeniu. Jakby tego było mało, poniżej Studni Strachu znowu przywitał nas stary meander i nieskończony ciąg stalkowych trawersów. Wybaczcie mi, ale nie będę tego opisywał – proszę wrócić na framugę!

Osiągnęliśmy już poziom 530 metrów poniżej otworu V-4, gdy dotarliśmy nad kaskadę Puits de la Riviere. 16-metrowy zjazd odbywał się równoległe do srebrzystej nitki uroczego wodospadu. Nigdy bardziej nie pragnąłem wody, jak w tamtej chwili. I nie tyle do picia, co do umycia. Od pamiętnej Puits Glaiseux minęły trzy, może cztery godziny, a my wciąż przypominaliśmy gliniane lalki. Każdy doświadczony grotolaz wie, że nie ma bardziej stresującej sytuacji, jak akcje w wielkich błotach. Toteż ucieszyłem się, gdy rozbryzgi wreszcie dosięgły mnie i spod lepkiego kompresu zaczęły ukazywać się czerwone plamy kombinezonu. Wylądowałem prosto w rzece, nie zważając, że woda wlała się do gumiaków. Nareszcie mogłem splukać wstrętną glinę. W tym miejscu ostatecznie pożegnaliśmy ten serdecznie zniechęcony meander. Dalej wędrowaliśmy wygodnym dnem krętego, obszernego korytarza. Jego ściany były wypłukane w czarnym wapieniu i inkrustowane białymi żyłami marmuru. Swym niesamowitym, zebrowatym wyglądem stwarzały nie tylko nastrój grozy, ale i tajemnicy. Potok wesoło przeskakiwał przez progi, tworząc malownicze bryzgi jasnej piany. Woda była wszędzie. Odbijała światło latarki z każdego zakamarka ściany, spływała z kasku na twarz i kombinezon, unosiła się w powietrzu i wnikając do płuc, wyziębiała organizm od środka. Mimo to, marsz wzdłuż rzeki był chwilą odpoczynku. Wreszcie można było poruszać się w normalnej, wyprostowanej pozycji, z nieznośnym workiem zgodnie przyklejonym do pleców. Toteż i nastroje w grupie szybko się poprawiły. Ściany odbijały echo wesołych okrzyków, śmiechów i gwizdów, zmieszanych z monotonnym bulgotem płynącej wody. Jaskinia lekko rozpozodziła swe ponure oblicze.

Nie wiadomo kiedy, sympatyczny potoczek zniknął gdzieś w bocznej szczelinie i nastała przedziwna cisza, rzecz wyjątkowa w tej jaskini. Jakbyśmy zamknęli za sobą jakieś niewidoczne drzwi. Dopiero kiedy po wejściu na żwirową łachę dał się słyszeć chrzęst kroków, wszystko wróciło do normy. Z ciasnej szczeliny w spągu znowu dochodził szum płynącej rzeki. Znaleźliśmy się w dużej, suchej sali. Ciszewski spojrzął na plan i rozjaśnił się w uśmiechu:

– Panowie! Ogłaszam koniec akcji na dzisiaj. Jesteśmy na biwaku.

Rozejrzałem się. Dopiero teraz zauważyłem ślady bytności człowieka – tkwiące w ścianach haki, wyrównane kamienie i... schowany nieco z boku, duży plastikowy worek ze słowackimi śmieciami. Odplynęło gdzieś napięcie i spręż. Poczułem się śmiertelnie zmęczony. W końcu minęło 12 godzin akcji. Z ogromną ulgą odpiąłem od uprząży worek i zacząłem z niego wyciągać dobytek. Między ścianami salki zawiesiliśmy hamaki. W zaimprovizowanej naprędce kuchni ktoś szybko przygotował posiłek. Puree ziemniaczane było bez smaku, ale po wymieszaniu z gulaszem i cebulą, stanowiło pożywną masę. A do tego napój, który pod ziemią nie równa się z niczym. Herbata z cytryną, dobrze osłodzona i gorąca. Wypiliśmy jedną menażkę, nie odmówili sobie drugiej

Komin – forma rzeźby terenu skalnego, w postaci stromego zagłębienia ograniczonego trzema ścianami (na powierzchni); pionowa próżnia prowadząca w górę (w jaskini).

i jeszcze, prawie na siłę, wmusiliśmy trzecią. Zdjąłem z siebie kombinezon. Trzeba uczciwie przyznać, że „Tekser” zdał egzamin, no ale za te pieniądze... Wykręciłem z wody skarpetki i zapadłem w trzęsionkę. To gwałtowne dreszcze usiłowały utrzymać odpowiednią temperaturę ciała. Pochylił się we czterech nad gazową maszynką, aby przyspieszyć suszenie wełnek. Wokół unosiły się kłęby pary, stwarzając świetlistą aureolę nad grupką przemoczonych grotolazów. Wyglądało to na jakieś czary.

Hamaki przypominały rybacką sieć. Były ażurowe, misternie uplecione z cienkich sznureczków. Chyba czeski „wynałazek”, przeznaczony głównie dla dzieci. Jakimś sposobem zostały przez polskich grotolazów zaadoptowane do spania na biwakach; ciekawe byłoby prześledzić, kto na to wpadł pierwszy. W tym czasie na Zachodzie były używane znakomite hamaki Marbacha, wykonane z podwójnej tkaniny. Już samo wejście do środka było pewną sztuką. Cienkie sznurki wrzynały się w puchowy śpiwór, pozbawiając go w tych miejscach właściwości izolacyjnych. Odpoczynek w nich był więc iluzoryczny. Mimo to, zasnęliśmy twardo, ja ze Zbyszkim od razu, Ciszek z Wasylem parę godzin później, gdyż jeszcze z rozpędu rozpoznali trochę nowego terenu.

Po sześciu godzinach spania ruszyliśmy do góry, szczęśliwi podwójnie, że do domu i że bez worów. O ile na biwak wędrowaliśmy około dwunastu godzin, tak do góry z powrotem – tylko pięć. A przecież zwykle w dół jest łatwiej. To też była taka specyfika naszej jaskini. Tu nie miało zbytniego znaczenia, w którą stronę się idzie. Raczej – co się dźwiga, ile ma się siły i czy zna się teren. Studnia Savoyards wyznaczała koniec podstawowego ciągu trudności. Jeszcze tylko ostatni stalkowy trawers – bułowanie na rękach, majątające w powietrzu nogi, nerwowe przekładki lonży i wreszcie jest – pierwszy pewny grunt – pochylnia. Teraz biegiem pod górę, najpierw normalnie, potem na czworakach. Mimo ruchu – zrobiło się jakby zimniej. To przeciagi – świadectwo coraz bliższego otworu. Minęliśmy lodowe stalaktyty, nieliczne i w dodatku tylko okresowe nacieki. I wreszcie pojawił się śnieżny tunel, stopniowo coraz bardziej rozświetlony jakąś mdłą, niebieskawą poświatą. W końcu wychyliłem się z wykopu i oślepiony, gwałtownie zamknąłem oczy. Słońce! Wyszliśmy na powierzchnię tuż przed jego zachodem i teraz posyłało nam ciepły, pomarańczowy uśmiech. Zbiegliśmy w kombinezonach, byle szybciej do schroniska i oby jak najdłużej – w gasnącej poświacie kończącego się dnia.

Biwak w pobliżu otworu V-4bis





ATAK

Pierwsze akcje w Gouffre Jean Bernard wykazały, że mamy do czynienia z trudnym i niebezpiecznym przeciwnikiem. Wręcz jakby z żywym wrogiem, który w decydującej chwili nie zawaha się wykorzystać najmniejszego błędu z naszej strony. A jednak każdy ze zniecierpliwieniem i nadzieją oczekiwał wyboru do szturmowej trójki. Warto tu odnotować, że nie było z tym żadnych przepychanek ani podchodów, jak to się niekiedy dzieje na wyprawach alpinistycznych. Autorytet Andrzeja był na tyle duży, że decyzja o skompletowaniu zespołów nie podlegała żadnej dyskusji. Mieliśmy do niego nieograniczone zaufanie i byliśmy pewni, że czeegokolwiek by nie postanowił, będzie to najwłaściwsze rozwiązanie.

21-go lutego obudziłem się dość późno. Czułem jeszcze w kościach trudy transportowej akcji. Schodząc po skrzypiących schodach, wyszedłem na zewnątrz. Odbite od śniegu słońce na moment osłepiło zaspane oczy. Przemylem je śniegiem. W jadalni trwała bezwładna krzątanina. Ktoś pakował plecak, ktoś sprzątał, inny zaś gotował. Na jednym ze stolików piętrzyła się góra różnorodnych sprzętów, zza których ledwo można było dostrzec Zbiga. Po kolei wyciągał z niej rzeczy i przekładał na drugi stół, tworząc nową kupę. Nie wiem po co to robił. Akurat trzymał w ręku pasiastą piżamę.

- Widzę Bracie, że kultura przede wszystkim. Nawet na podziemnym biwaku – roześmiał się Kazio, przerywając na chwilę wymachy rąk podczas porannej gimnastyki.

- Chyba nie znasz, Stary, zasad racjonalnego ubierania się na akcję jaskiniową – Rysiecki jak zwykle, łatwo dał się sprowokować do dyskusji. – Zawsze zakładam na izotermik* tę flanelkę i dzięki temu podczas akcji on jest suchy, a cała wilgoć parującego ciała jest wchłaniana w piżamę.

- Dla mnie, jak już 15 lat łążę po dziurach, podstawą zawsze była wełenka i szaliczek.

- Tak, tak! Słyszałem już coś niecoś o tym szaliczku. Chyba w Ptasiej? Wkręcił ci się w rolkę podczas zjazdu i o mały włos, omal cię nie udusił.

- Zwykły wypadek przy pracy – burknął Kazio i gwałtownie pochylił się w kolejnym skłonie.

Obydwaj byli w pierwszym zespole szturmowym, razem z Ryśkiem Knapczykiem. Sam Kiepu siedział za stołem i spokojnie pił kawę. Jego plecak, czyli nadęte do granic wytrzymałości transportowe nosiłki podpierały ścianę, będąc już od wczoraj w bojowej gotowości.

- Myślę, że rozsądnie będzie jeszcze załapać się na normalny obiad, bo nieprędko nadarzy się następna okazja – stwierdził filozoficznie, z zainteresowaniem patrząc na wysiłki Zbiga.

- Dobry pomysł – ten zgodził się chętnie. – Zaoszczędzimy na gotowaniu u góry.

Według założeń taktycznych, skrupulatnie obliczonych przez Ciszewskiego, mieli tego dnia dotrzeć do namiotów, rozbitych koło otworu B-21, i tam przenocować. Dopiero rano planowali wejść do dziury, co było całkiem rozsądnym założeniem, gdyż w ten sposób zachowywali, przynajmniej na początku, normalny rytm dobowy. Przejście całej deniwelacji Jean Bernard powinno zająć około trzech dni, licząc w tym odpoczynek na dwóch biwakach. Następne zespoły szturmowe miały wchodzić do jaskini w dwudniowych odstępach. Ważne tu było umiejętnie rozłożenie czasu działania, w taki

Izotermik („rexo”) – jednoczęściowy kombinezon wewnętrzny, uszyty ze specjalnej, charakterystycznie pomarszczonej tkaniny, składającej się z aluminiowej folii NRC, włókniny i stilonu.

sposób, aby z jednej strony nie deptały sobie one po piętach, zwłaszcza na biwakach, a z drugiej – wzajemnie się asekurowały. Należało także uwzględnić awaryjne założenie, że gdyby akcje okazały się wyjątkowo ciężkie i długie, zespoły powinny mieć możliwość odpoczynku na biwakach trzy, a nawet cztery razy.

Kalkulacje, analizy, taktyka, atak, zespół szturmowy... Już sama wymowa tych terminów kojarzyła się z igrzyskami wojennymi przygotowaniami. Najbardziej niepewnym elementem tej gry chyba byliśmy My. W końcu noga może się podwinąć każdemu, nawet przy wejściu do własnego łóżka. Wasyl wręcz otwarcie przyznawał się do notorycznego pecha, co się zresztą zaraz potwierdziło, gdyż na akcji dokumentacyjnej, podczas fotografowania omsknął się w szczelinie i zaliczył parę metrów niegroźnego na szczęście lotu. Podczas którejś z wieczornych pogawędek, został podjęty nieco ryzykowny, ale zawsze podniecający temat służby wojskowej. Okazało się, że w tej ekipie, można by powiedzieć – jaskiniowej kadrze Polski – nie było ani jednej osoby, która mimo odpowiedniego wieku, zaliczyłaby ten zaszczytny obowiązek obywatelski. Wszyscy mieli „porządne” kategorie D, kojarzone pospolicie z pewnym słowem na taką samą literę. No cóż, w tamtych czasach do wojska trafiały największe ofiermy, więc tak naprawdę chyba nie było z nami źle.

Chłopcy pierwszego zespołu, mimo że jeszcze nie wyszli, to już czuli się namaszczeni piętnem szczególnej misji. Mieli dodatkowe, stosunkowo niepewne i bardzo trudne zadanie pokonania nieznanego odcinka końcowego. Z francuskich opisów wynikało, że partie te, zaczynające się 350 metrów powyżej dna jaskini, miały bardzo skomplikowaną budowę oraz mnóstwo trudności technicznych. Istniało więc ryzyko nietrafienia do syfonu. Wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę i pożegnaliśmy chłopców uroczyście. Strażackie fotografie, uścisk Kierowniczej dłoni i... buziak Pumpy. Po obiedzie pierwszy zespół szturmowy ruszył do góry. Na drugi dzień, w samo południe 22-go lutego 1980 roku, wybiła dla niego godzina Zero. Rozpoczął się atak na Dno Ziemi.

Na akcję rusza I zespół szturmowy. Od lewej: R. Knapczyk, A. Ciszewski, E. Wójcik, K. Szych i Z. Rysiecki



W tym samym czasie, w przytulonym do skalnej półki schronisku toczyło się normalne, bazowe życie. Wylegiwanie w śpiworach do oporu albo i dłużej, całodzienne posiłki, niekończące się kawki i herbatki oraz całonocne pogawędki. W oczekiwaniu na swoją jaskiniową kolejkę staraliśmy się jak najlepiej wypocząć. Jedyne Grzesiek niepokoił się o stan samochodu i cieplejsze dni spędzał na dole, grzebiąc wśród części niesfornej ciężarówki. Zgodnie z planem, kolejno, w dwudobowych odstępach udawały się do jaskini szturmowe zespoły. 23-go lutego miał wyjść zespół drugi, prowadzony przez Ciszewskiego. Oprócz Kierownika w skład wchodziła Puma i Wierzba, znaczy się – Staszek Baraniewicz.

Zanim jednak wyszli, do schroniska dotarli francuscy grotolazi z Lyonu. Odwiedziły czy kontrola...? Z ich słów wynikało, że za kilka dni przybędą w większej ekipie, z planem przenurkowania syfonu końcowego naszej jaskini. Dlatego prosili o zostawienie lin poręczowych w dolnej części. Było to logiczne, narzucające się współdziałanie. Francuzi byli ciekawi, jak nam się rozwijała wyprawa. Zaczęli dopytywać się o postępy działań w Jean-Bernard.

– Czy wszystko idzie zgodnie z planem? Kiedy zamierzacie zakończyć działalność? Jak wam się podoba nasza jaskinia?

– Bardzo interesująca, zupełnie odmienna od tatrzańskich. Możecie być szczęśliwi, że macie tyle wapiennych masywów.

– Mielicie jakieś ciekawe przygody, może lawiny...?

– A tak. Na szczęście lawiny nas ominęły. Ale na pewno długo zapamiętamy błotny syfonik pod górnym otworem. To była wyjątkowa rzecz...

– ???

– Tak. Niebanalna przeszkoda, dołująca zawodnika zaraz na początku akcji...

– ??? ...Czy to oznacza, że znaleźliście otwór B-21?

W końcu „zajarzyli”. Trzeba było widzieć miny żabojadów! Jeden od razu zaczął się jękać, pozostali nie kryli zakłopotania. Z ich punktu widzenia, znalezienie wysoko w górach małej studzienki, przysypanej grubą warstwą śniegu, przez kogoś kto zjawił się tutaj po raz pierwszy, i to w sytuacji katagorycznej rezygnacji ze strony miejscowych ekspertów, było właściwie cudem. Na wszelki wypadek nie zdradzaliśmy im szczegółów poszukiwań. Jeszcze nie zdobyliśmy jaskini, a już przeżywalimy pierwsze chwile tryumfu.

W naszym górskim domu robiło się coraz bardziej pusto. Jak dotąd, niczym jacyś straceńcy, w regularnych odstępach wychodzili w górę zawodnicy i... nie wracali. Grupy Kiepa nie było już pięć dni! Czarne myśli, kłębiące się mimo woli pod czaszką, mieszały ze sobą różne sytuacje, wyciągały na wierzch najgorsze wspomnienia, kombinowały na wszystkie sposoby. Na koniec zostaliśmy tylko we czterech: Mikołaj Czyżewski, Henio Nowacki, Grzesz Baczkowski i ja. W końcówce dołączył do nas zaprzyjaźniony grotolaz angielski, Phil Rust. Razem mieliśmy wejść do dziury jako ostatni, re-transportowy zespół. A tu nie było wiadome, czy przypadkiem nie pójdziemy tam z pomocą.

To co działo się pod ziemią, na zawsze zostanie wyłącznym przeżyciem uczestników tych działań. Żaden opis, żadne wspomnienie ani nawet fotografie czy filmy, nie oddadzą specyfiki podziemnej akcji, szczególnie tej najcięższej. Ktoś zapyta – to po co to opisuję? Przecież zaprzeczam sam sobie! – Sam nie wiem, ale myślę, że z powodu jakiegoś długu wobec przyjaciół. Ludzie zwykli dzielić się, czy to uczuciem, opłatkiem, czy też wspomnieniem. Tacy po prostu są. Cofając się w czasie pracy o te bite 25 lat, przeżywałem na nowo niektóre przygody i z tego powodu byłem bardzo szczęśliwy.

2210 m npm.

B-21

B-19 2150 m npm.

P-140

R. de la Gadoue

Riviere aux Exscentriques

Tak się złożyło, że trzech uczestników rekordowej akcji zaraz po powrocie do kraju chwyciło za pióro i opisało swoje wrażenia. O perypetiach związanych z pokonaniem najwyższych partii jaskini tak opowiadał Krzysiek Hancbach*:

„ ... Zaraz za wlotówką tracimy sporo czasu na sforsowanie zacisku, który możliwy jest do przejścia tylko dzięki francuskim robotom „strzelniczym”. Po kilkudziesięciu metrach poziomych ciągów zatrzymuje nas błotna rura. Pierwszy rzuca się w nią Kiepu. Docierają do nas odgłosy rycia w błocie, pluskanie wody i ironiczny śmiech, a na końcu okrzyk: – Dawajcie wory! Kiedy sam zagłębiłem się w rurze, miałem okazję stwierdzić, że rzeczywistość przerasta wszelkie wyobrażenia. Rura w swej dolnej części tworzyła kolano o długości ok. 2 metrów, wypełnione rzadkim błotem. Z powodu ciasnoty nieuniknione było pełne zanurzenie się w mazi. Rura dalej wznosiła się do góry i kończyła zabłoconą studzienką, w której dnie zaczynał się następny zacisk. Ten pokonujemy bez większych problemów. Szybko i bez kąpieli mijamy głębokie marmity i docieramy do najgłębszej studni systemu – „Puits-156”. Sto czterdzieści metrów wolnego zjazdu, dalej przesiadka przez węzeł i lądowanie na gigantycznym zawalisku.*

Był już czas najwyższy aby zerknąć na plan górnych partii, który mieliśmy rozrysowany na trzech kartkach formatu A4, i trochę odsapnąć. Nerwowo szukamy na planie miejsca naszego postoju. Ku naszemu zdziwieniu okazuje się, że jesteśmy dopiero w połowie pierwszej kartki a do przejścia zostaje jeszcze dwie i pół. Akcja nie klei się. Dobijamy brakującego spita i po krótkim zjeździe znajdujemy się w pięknej, 300-metrowej Galerii Ekscentryków. Galerię, podobnie jak inne bardziej poziome odcinki jaskini, pokonujemy w ciągłej zapieraczcze. Na ścianach występują wspaniałe nacieki helikytowe, które wyrastają z niej jakby białe krzaczkę. Ich budowa przeczy grawitacji. Zaczęły się trochę szersze partie, ale też wzmogły trudności orientacyjne. Drogi trzeba szukać nie tylko w poziomych rozwidleniach ale i na różnych piętrach. W niektórych miejscach znajdujemy słowackie oznakowania. Pakują nas jednak w niezłą kabałę, więc zgodnie rezygnujemy z tego ułatwienia. Błędy w tej jaskini są jednak nieuniknione. Kiedy dotarliśmy do rozgałę-

W śniegu i błocie czyli „Jean Bernard-80”, Krzysztof Hancbach. *Alpiniste Complet*, 1981.
Marmit – koliste zagłębienie w skalnym dnie korytarza, wymyte przez przepływającą wodę

zienia ciągu, zamiast pójść do góry, dajemy się skusić błotnistym pochylniom w dół. Po około 80-ciu metrach, w pionie, które pokonailiśmy metodą efektywnych dupozjazdów, okazuje się że nie tędy droga i z trudem wycofujemy się. Mimo to, akcja rozwija się coraz sprawniej. Jesteśmy zmuszeni pokonywać rwący potok, z licznymi wodospadami. Idziemy trawersem wzdłuż podziemnej rzeki, do złudzenia przypominającej górski potok nocą. W końcu rzeka ginie między ogromnymi blokami skalnymi. Po 18-tu godzinach akcji, osiągamy biwak koło V-4bis."



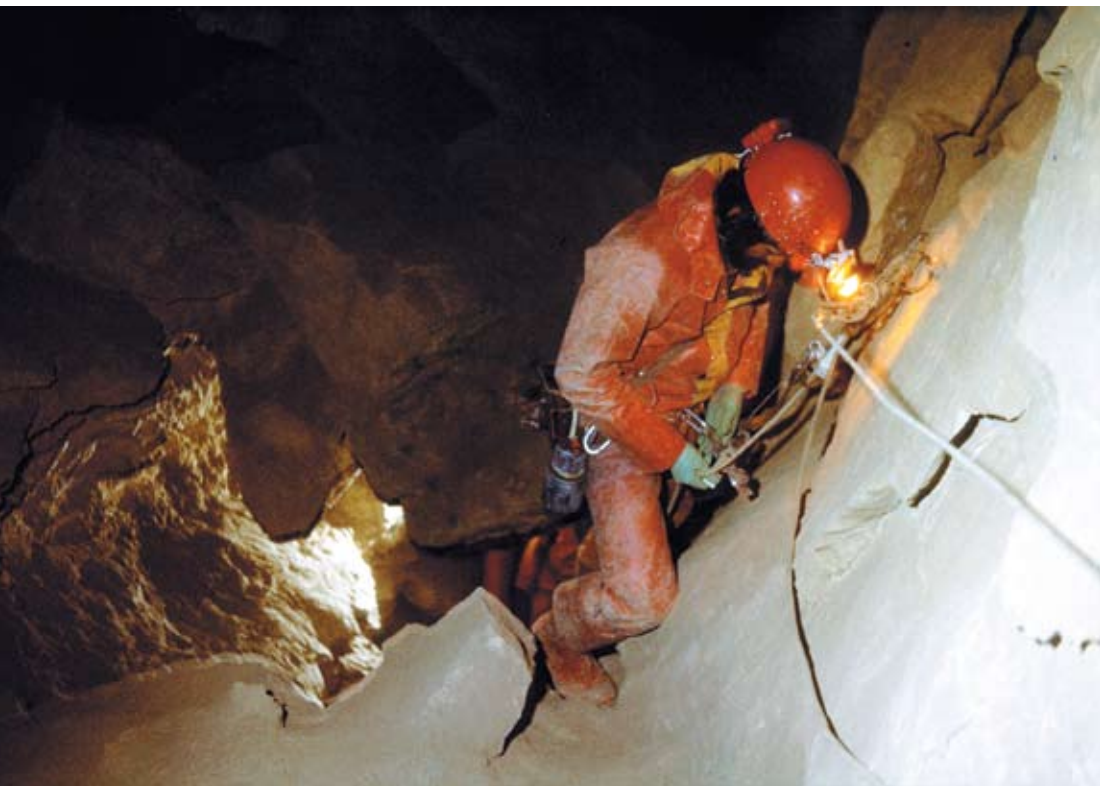
Wspomnienia Kazia Szycha z pierwszego przejścia Jean Bernard były jeszcze w tym samym roku publikowane w „Taterniku”^{*} oraz 20 lat później w piśmie „Jaskinie”^{*}. Pisane na gorąco, tuż po powrocie z wyprawy, najbardziej autentycznie oddawały przeżycia tamtych chwil:

„Biwak -920 m. Gliniasta platforma w rozszerzeniu meandra, szeroka na rozpiętość hamaka, kilkanaście kroków długa. Ze snu budzi mnie i Rycha krzątania Zbyszka, przyrządzającego przebój wyprawy – zupkę regeneracyjną. Mikst rosółki, makaronu i mielonki, zagryzany sucharem wojskowym typu „Junak”. Głuchy łomot Rzeki Jean Bernard, wydobywający się ze szczeliny poniżej dyndających w hamaku nóg, przywołuje nas momentalnie do rzeczywistości. Nad nami setki metrów prożków, kaskad i studni o gigantycznych czasem rozmiarach. Tysiąc metrów trawersów po poręczówkach nad kotłującą się wodą, w oblepionych błotem ciasnych szczelinach i meandrach katujących ciało i kupiony za „kieszonkowe” dolary – Tekser. Kilometry galerii wzdłuż huczącej rzeki i błotnych korytarzy. W hamakach przeklinanych jeszcze kilka godzin temu za niewygodę, jest teraz wspaniale. Wyrzuceni z puchów, walcząc z wciągnięciem gumiaków na wilgotne skarpety, spoglądamy na trzy pękate wory...

Godzina 12! Opuszczamy biwak. Rzeka Jean Bernard ginie w wąskich szczelinach korytarza. Wznoszące się w górę pochylnie wprowadzają w labirynt błotnistych, ciasnych szczelin, nieokreślonej głębokości. Poziome i ukośne poręczówki. Kilka set metrów rozpieraczki – na granicy odpadnięcia wskutek błota. Miejscami jest tak ślisko, że posuwać się można jedynie metodą linoskoczków, to znaczy stawiając nogi na poręczówce.

Taternik – magazyn Polskiego Związku Alpinizmu.

Jaskinie – ogólnopolski kwartalnik poświęcony polskiej działalności jaskiniowej.





III zespół na biwaku:
J. Orłowski i A. Bałas

Wpięty w uprząż* wór klinuje się co chwilę, albo gwałtownie wpada w rozszerzenie szczeliny, usiłując za wszelką cenę pociągnąć za sobą zapierającego się całym ciałem człowieka. Co jakiś czas szczelina rozszerza się, tworząc studnie sprowadzające na coraz to niższe piętra jaskini.

Po kilkuset metrach szczelina wrzuca nas z powrotem w Rzekę Jean Bernard. W studni P-13 łączy się ona z mającym znacznie większy przepływ, bocznym dopływem, wpadającym przez okno w stropie studni. Rozpoczyna się ciąg kaskad w Galerii des Cinelés. Spieniony nurt rzeki, płynącej przepięknie mytymi korytarzami o czarnych, cętkowanych białym kalcytem ścianach, przelewa się przez kilkanaście progów, tworząc ciąg wodospadów, z których najpotężniejszy ma 22 metry wysokości. Słowacy nie wyciągnęli za sobą lin. Przy większym przyborze wody rzeka zamienia się w żywioł niszczący wszystko, co napotyka po drodze. Na spitach wiszą więc tylko strzepy „Mamutów”. Jesteśmy przerażeni!

...Z biwaku zabraliśmy tylko liny potrzebne do oporęczowania jaskini poniżej Salle des Crêpes oraz jeden podciąg na nieprzewidziane sytuacje. W rachubę nie wchodził fakt, że liny trafi szlag, bo zapomniano je wyciągnąć z wody. Pozostaje nam więc liczyć jedynie na szczęście. Naszymi podciągami poręczujemy tylko dłuższe odcinki. Na trawersach i prożkach wieszamy kawałki francuskich lin, jakie udaje się nam wyciągnąć spod wodospadów. Każdy ocalały metr liny pakujemy do worów. Po pokonaniu kaskad dochodzimy do Salle du Jour de I'an, na głębokości -1197 metrów, gdzie „Pierrociki” mieli założony biwak, z którego wyeksplorowali partie denne aż do syfonu. Rzeka ginie gdzieś w zawalisku na dnie sali. W prawo opada ciasny korytarz, zasłany rumoszem. Z płaskiej wanty, tuż nad 11-metrową studnią, założony jest zjazd do Salle des Crêpes. Wanta* wygląda nadzwyczaj niepewnie. Jest zresztą obłożona przez kolejnych zjeżdżających kamieniami. Ściany korytarza są tak krucho, że wbicie spita nie jest możliwe. Dokładamy i my swoje kamienie, i w przekonaniu, że wanta jest cięższa od nas – zjeżdżamy. Wspinaczka niewielkim progiem po przeciwnej stronie sali wprowadza w niezwykle ciasny korytarz, oblepiony czarnym błotem, w którym albo trzeba się czołgać albo posuwać na kolanach. Co kilkanaście metrów na boki odchodzą zasklepiające się po kilku metrach szczeliny, co szalenie utrudnia znalezienie właściwej drogi.

Uprząż (wspinaczkowa, jaskiniowa) – system zszytych taśm stilonowych, zakładany na biodra (u. biodrowa czyli „majtki”) i ewentualnie na piersi (pas piersiowy czyli „szelki”, pas ramieniowy), używany do przypięcia przyrządów lub przywiązania liny.

Wanta – góralskie określenie bardzo dużego bloku skalnego.

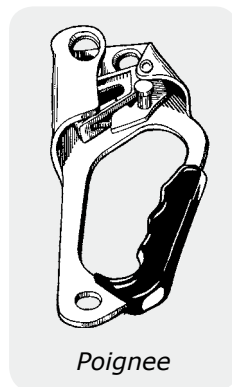
Po godzinie kreciej wędrowki 8-metrowy zjazd sprowadza do maleńkiej salki, zwężającej się w niezwykle ciasną, embrionalną szczelinę. Zaczynają się Galerie Nieludzkie! Nie można wymyślić bardziej trafnej nazwy dla tego kilkusetmetrowego, splekanego i zrytego szczelinami zacisku. Rozpakowujemy wory. Zabieramy ze sobą porpczyk, dwa ostatnie zdobyczne kawałki „Mamuta” i komplet małp*. W pewnym miejscu, w niewielkim rozszerzeniu szczeliny następuje zjazd do 11-metrowej studzienki, z której dna odchodzi ciasny korytarzyk. Po 30-stu metrach jest on przecięty poprzeczną, niezwykle ciasną szczeliną. Na głębokości 10-ciu metrów rozszerza się ona, tworząc maleńką salkę, w której z trudem się mieścimy. Jej mocno pochylone dno opada do zielonkawej toni jeziora.

Jest godzina 19.10. stoimy na dnie świata... 32 godziny temu opuściliśmy zawiany śniegiem namiot przy B-21, siedem godzin temu – wilgotne śpiwory biwaku na głębokości 920 m. Teraz, skuleni siedzimy nieruchomo i zagubieni we własnych myślach, wpatrujemy się biało-czerwony trójkąt nad martwą, kryształową wodą. Nie mówimy do siebie nic... Po chwili padamy sobie w objęcia... Uśmiech pod warstwą błota i szklące się oczy wyrażają wszystko...”

Osiągnięcie syfonu końcowego Gouffre Jean-Bernard było bardzo dużym wyczynem, ale wcale jeszcze nie oznaczało sukcesu. Słowacy też tutaj dotarli, a wcześniej także eksplorujący Francuzi. Teraz najważniejszy był powrót, a właściwie styl w jakim go dokonamy. Czy grupy szturmowe oprą się kuszącej pokusie, aby z jakiegoś błędnego pretekstu uciec z tej nory przez dolny otwór V-4bis, kiedy po przeszło 50-ciu godzinach akcji będą go mijali dosłownie o krok? Czy oprócz własnych ciał wyniesiemy stąd także sprzęt i śmieci? Czy będziemy mieć na to siłę?

„Powrót jest zawsze mordęgą znacznie większą niż zejście. – wspomina Zbyszek Rysiecki – Mamy przed sobą ponad 300 odcinków wspinaczkowych, około 12 km głównego ciągu, 1358 metrów do góry. Na dojście do dolnego biwaku potrzebujemy aż 15 godzin i po prostu padamy z wyczerpania. Po przyjsciu do siebie – kolacja, rozwieszenie hamaków i kamienny sen... Znowu idziemy dnem podziemnej rzeki, ale teraz pod wartki prąd, ślizgając się i potykając. Plecaki ciężą, jakby były w nich kamienie, namokły ekwipunek utrudnia każdy krok. Pierwsze odcinki, które w dół przebywaliśmy błyskawicznym zjazdem, teraz musimy pokonywać mozolną wspinaczką po linie. Jest naprawdę ciężko. Nie pamiętam już, w której godzinie marszu zza załomu korytarza niespodziewanie błysnęło światło i rozległ się radosny wrzask: – Wracają! Po chwili witamy się z drugą trójką szturmową. Ciszewski od razu zapytał: – Doszliście? Wystarczyło jednak tylko na nas spojrzeć, żeby to odgadnąć. Klepiemy się po plecach, przyjmujemy gratulacje, podajemy kolegom szczegółowy opis trudniejszych przejść. Do obozu górnego docieramy na ostatnich nogach, po 7 godzinach akcji. Boimy się ostatniego etapu, szczególnie tej 140-metrowej studni. Taki kawał w górę non stop po linie... A siły i odporność psychiczna już przecież nie te co przed trzema dniami, kiedy rozpoczynaliśmy akcję. Pierwszy w studnię wchodzi Kazio, ja znowu jestem ostatni. Czekamy na sygnał.

Małpa – ogólne określenie zaciskowych przyrządów, służących głównie do wychodzenia po linie (np. gibbs, shunt, dressler, croll, poignee, jumar).



– W porządku! – dudni z góry i teraz rozpoczyna wyjście Rysiek Knapczyk. Wreszcie moja kolej. Cały ten majdan, jaki mam na sobie, ciągnie w dół, ręce mdleją, ale krawędź studni coraz bliżej. Kazio i Rysiek mają to już za sobą i zachęcają okrzykami do ostatniego wysiłku. Nad głową wyciągnięte ręce kolegów i już!”

25-go lutego o godzinie 16-tej, po siedemdziesięciu siedmiu godzinach jaskiniowej akcji z wlotowej studzienki wyszli na powierzchnię członkowie pierwszego zespołu. Chwilę potem oślepiająco biały śnieg, jaki dotąd grubym kożuchem przykrywał okolice otworu B-21, zmienił barwę na czekoladową. Z daleka wyglądało to, jakby kogoś tutaj zamordowano. A to po prostu chłopcy wytarli błoto ze swych kombinezonów. Z dużą ulgą zdarli z siebie ten ohydny kompres, przesiąknięty potem i gliną, a może nawet i krwią, tym bardziej że już zaczynał zamarzać. Przebrani w suche ubranie, rażno pomknęli w dół. Do naszego górskiego domu.



J. Orłowski po wyjściu z otworu B-21

Tymczasem na dole, w schronisku dawało się wyczuć narastające napięcie. Do wyjścia szykował się zespół trzeci, z Andrzejem Bałasem, Jankiem Orłowskim i Krzyszkiem Hancbachem w składzie. Chłopcy chcieli jeszcze koniecznie doczekać się powrotu zespołu pierwszego, tym bardziej że właśnie na dzisiaj był on planowany. Z pewnością przydałoby się także trochę nowych informacji o dziurze. Czekali do godziny 16-tej, niestety bezskutecznie. Wyszli z głowami pełnymi sprzecznych myśli.

– Daj lornetkę! Podejdę trochę i rozejrzę się – Henryk należał do niespotykanie spokojnych ludzi, ale i on zaczął zdradzać objawy niepokoju. Naciągnął anorak* i wyszedł za drzwi. Dotarł do niewielkiego, ukrytego tuż za schroniskiem pagórka, skąd była lepsza widoczność. Po kolei badał wzrokiem górską połąć. Nic. Góry były skamieniałe w swej zamrożonej postaci. Kompletnie puste, abiotyczne. Żadnego ptaka ani nawet kozicy. Zrezygnowany, skierował lornetkę niżej i nagle na białym stoku dostrzegł charakterystyczną rynnę po dupozjeździe. Na pewno nie zostawili jej chłopcy z zespołu Wasyla, bo przecież podchodzili do góry. A więc – zespół pierwszy?

Późnym popołudniem 25-go lutego, przez głębokie zaspy stoków *du Foillis* przedzierały się trzy postacie. Przygarbione pod ciężkimi plecakami, z trudem torowały szlak, zataczając się i potykając. Byle w dół, byle jak, szybko. Na ubitych od wiatru stromiznach ześlizgiwali się na własnych siedzeniach, tyleż efektownie, co ryzykownie. Spod czekanów pryskały fontanny zdrapanego firnu*. Chmura białego pyłu przysłoniła ten fragment stoku i po chwili wszystko ukryło się za pagórkiem. Henio zaklął cicho.

Anorak - (eskim.) bluza przeciwwiatrowa, długa do kolan, z kapturem i piersiową kieszenią, początkowo wykonywana z brezentu potem ortalionu.

Firn - stary śnieg, przeobrażony w lodowe ziarna.



J. Orłowski w akcji



Zapieraczka w wysokiej szczelinie

Od wiszącej nad stokiem ściany *de Criou* poniosło w dolinę zwielokrotnione echo donośnych okrzyków. Henrykowi zdawało się, że słyszy też śmiech. Pokręcił soczewkami, złapał ostrość. Teraz już nie mógł się mylić. To był Kiepu. Roześmiana gęba i wysoko podniesione ręce nie pozostawiały cienia wątpliwości. Oni byli na Dnie!

A więc stało się. Już nam tego nikt nie odbierze. Mamy rekord świata. Nic nie jest w stanie opisać radości jaką wtedy przeżywaliśmy. Dużą w tym zasługę miała świeża dostawa wina, zapobiegawczo przyniesiona w naszych plecakach. I jedynie w chwilach, gdy przypominaliśmy sobie o szóstce przyjaciół, ciągle jeszcze przebywającej pod ziemią, twarze znaczyły zmarszczki niepokoju. Ale oni mieli jeszcze sporo czasu do planowego powrotu.

I faktycznie. Zgodnie z założeniami, jakby to dotyczyło niedzielnego spaceru, o godzinie 17-tej 27-go lutego zameldował się w schronisku drugi zespół szturmowy. Do osiągnięć wyprawy przybył jeszcze jeden rekord – pierwsze kobiece zejście na tak dużą głębokość.

– Daj Puma pyska! Gratuluję wspaniałego sukcesu.

– Czekaj. Jeszcze się nie umyłam – pomimo widocznego wyczerpania Ewa była wzruszająca. – Chyba przestanę chodzić po jaskiniach. Przecież kobieta tam tak cierpi... Ja tam przy syfonie płakałam, plułam i z obrzydzenia nie wiedziałam co robić.

– Może kanapkę?

– Nie, dziękuję. Przede wszystkim pić. Pić i myć. Wstawcie wodę do mycia!

– Saaaadaj! Mamy cały gar wody.

– Kiedy nie mogę usiąść – cały tyłek mam mokry.

To była kolejna przegadana noc. Ale dla mnie kończyło się już beztrudnie choć nerwowe życie bazowe i nieuchronnie nadchodziła godzina akcji, tej ostatniej. Jeszcze wieczorem spakowaliśmy wory: ja, Henio Nowacki, Mikołaj Czyżewski i Phil Rust. Mieliśmy wejść do jaskini przez dolny otwór V-4bis. Nasze zadanie polegało na osiągnięciu syfonu końcowego oraz wyniesieniu sprzętu z dolnego biwaku. W sumie mieliśmy do pokonania 1008 metrów deniwelacji.

Wstępne partie jaskini znałem z wcześniejszych wejść, dzięki czemu dość szybko, bo w pięć godzin dotarliśmy do biwaku. Po drodze mineliśmy się z grupą trzecią. Wrócili z Dna i na takich też wyglądali. Poczęstowaliśmy ich pomarańczami. Na biwaku postanowiliśmy trochę odpocząć. Zdjęliśmy kombinezony i buchając kłębami pary z mokrych wełenek, sączyli niekończące się herbatki. Przykucnięci na kamieniach, wsłuchiwalismy się w jaskiniowe odgłosy. Płynący gdzieś w oddali potok wydawał dźwięki, zniekształcone przez załomy korytarza, które można było w dowolny sposób interpretować. Ileż to razy wydawało nam się, że słyszymy ludzkie głosy, cioranie kombinezonami o skałę, nawoływanie o pomoc... Wrażenie to potęguje się, kiedy rzeczywiście kogoś się oczekuje. W pewnym momencie złudzenie było tak silne, że któryś z nas zaczął nawoływać. Oczywiście, odpowiedzi nie było, a „mówiąca woda” jaskiniowego potoczku płynęła dalej.

Po chwili znowu pojawiły się omamy. Nawet jakby można było rozróżnić poszczególne słowa. I to francuskie! To nie mogło być złudzenie. To byli grotolazi z Lyonu. Przyszli we czterech, wprowadzając nas w kompletne osłupienie. Dopiero później zaczęliśmy sobie przypominać, że faktycznie, że była planowana jakaś akcja ze strony gospodarzy. Tak się też dobrze złożyło, że w naszym zespole był Mikołaj, płynnie mówiący po francusku i Phil, jakby nie było – *westman*. Toteż szybko uzgodniliśmy z Francuzami zasady współdziałania, a właściwie nie-przeszkadzania. My mieliśmy dotrzeć do syfonu, oni – w nim nurkować. Prowadził ich sam „Pierrot”; tak był nazywany Pierre Rias, czołowy eksplorator jaskini Jean-Bernard, szef szkolenia ratownictwa jaskiniowego i w ogóle – wielki człowiek. Taki jakby odpowiednik Ciszewskiego we Francji. Tymczasem siedzieliśmy na workach i pijąc herbatkę, uważnie nawzajem obserwowali. W naszym wyposażeniu nie było jednak większych różnic, poza tą że w Polsce trzeba by było na nie pracować dwa lata, a tutaj – pół miesiąca! Francuzi byli dość mocno zaskoczeni naszym perfekcyjnym „ułożeniem”. Zdziwiło ich na przykład, że mieliśmy na wierzchu tylko te przyrządy i pętle, które były w danym momencie przydatne. Reszta zaś skrupulatnie schowana w małych osobistych woreczkach, niepozornie zwisających wzdłuż ud. Używaliśmy laterek elektrycznych, zasilanych zestawem wydajnych akumulatorów, ukrytych pod pazuchą. W czasie akcji wyglądaliśmy więc dość „sportowo”. Natomiast oni byli obwieszani sprzętem jak choinki. Przyrządy asekuracyjne i zjazdowe, zapasowe pętle, karabinki i opasła wytwornica* acetyleny; wszystko to mieli przytroczone do uprzęży. Oprócz tego taszczyli sprzęt nurkowy i biwakowy. Jak na cztery osoby – było tego wyjątkowo dużo.



Pierre Rias

Schodziliśmy coraz niżej w głąb jaskini. Przeszkody, według opisanego wcześniej schematu, powielały się wielokrotnie, przysparzając kropel potu pod kaskiem. Setki metrów zapieraczkowych trawersów, skomplikowane przepinanki studni i progów. Wreszcie dotarliśmy do miejsca, skąd wypływa rzeka Jean Bernard.

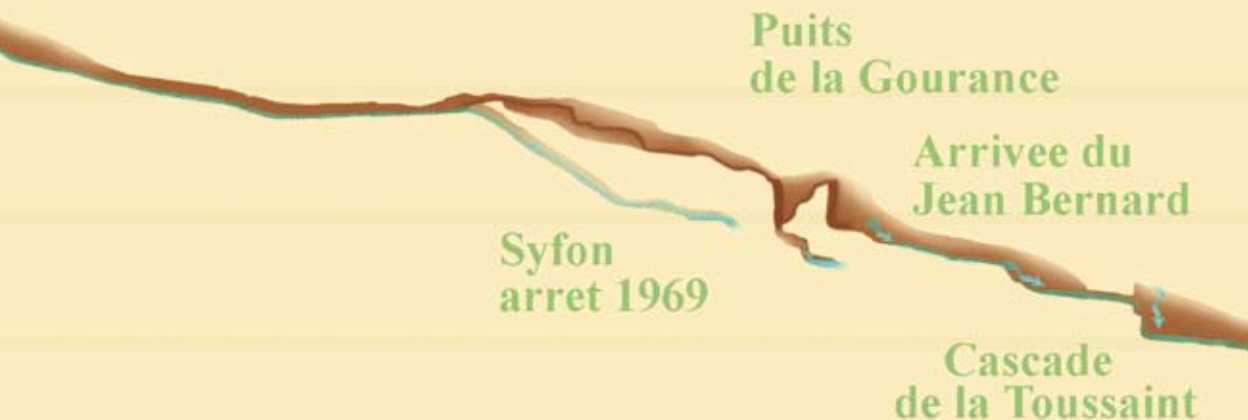
Wytwornica – pojemnik na karbid i wodę, służący do wytworzenia acetyleny (np. Fisma, Ariadna). Zwykle noszony na pasku, na wysokości bioder (zob. Fisma, str. 243)

Odtąd wędrowaliśmy dnem ładnie mytego i szerokiego korytarza, gęsto podciętego progami i wodospadami. Zjeżdżaliśmy tuż obok nich albo bezpośrednio w wodzie. Rzeka, spadająca z wielkim hukiem tuż obok rozpiętej liny zjazdowej, wywoływała niezapomniane wrażenie. Woda z okropnym hałasem bębniła po kasku, wlewała się do rękawów i uciekała przez nogawki. Szum był tak donośny, że można było się porozumieć tylko przy pomocy gwizdów, według umówionego wcześniej kodu. Czuć i widać tu było potęgę żywiołu i zarazem bezradność człowieka, a nawet jego nicość. Ale chyba dopiero dzięki naszej tam obecności te wyzwolone siły przyrody nabierały właściwego wymiaru. Podświetlone elektrycznym światłem czołówek i ozdobione sztafazem zawieszonych na linach sylwetek, stawały się żywe.

Nie mieliśmy czasu na wzruszenia. Rozsądek nakazywał pośpiech. Z wygodnego koryta potoku wpełziliśmy w labirynt ciasnych korytarzy. Z trudem znajdowaliśmy drogę, wyznaczoną przez poprzedników odbłaskowymi znacznikami. Korytarz był wyplukany w skorodowanych, niezwykle kruchych łupkach, o dnie podziurawionym wodnymi marmitami. Należało się czołgać bardzo ostrożnie, aby pod kombinezon nie nabrać zbyt dużo wody, ale i nie zaklinować się w zacisku. Zewsząd wystające skalne zęby tylko czyhały, żeby rozerwać ubranie lub rozkrwawić rękę. Pół kilometra tego „korytarza” posiadało wymowną nazwę Galerii Nieludzkich. Kończyły się one dziesięciometrową, także szczelinową studzienką. Korzystając z zawieszonej pętli kolejno ześlizgnęliśmy się w dół. Nad spokojnym lustrem małego jeziora wisią biało-czerwony proporczyk, zawieszony przez Knapczyka tydzień wcześniej.

Uścisk dłoni. Refleksja. Odpoczynek. Powrót.

I to wszystko? Więc tak wyglądało owo, dotąd nieosiągalne „Dno Ziemi”? Natrętne skojarzenie nasunęło powszechnie znane widoki alpinistów, stojących na szczycie jakiegoś ośmiotysięcznika, na przykład Everestu, z bezkresnym morzem gór dookoła.



Cały świat u stóp!

A my? Zagubieni wewnątrz Góry, zastanawialiśmy się, czy starczy sił na wyjście z niej. No cóż? Taki to już urok naszego sportu. Wymarzony biegun głębokości okazał się niedużym bajorem na dnie ciasnej szczeliny. Żadnych widoków. Zamiast perspektywy górskich szczytów mieliśmy perspektywę... powrotu. I to jeszcze bardziej trudną niż dotarcie tutaj! Można by tu filozoficznie pospekulować, że „Dno Ziemi” jest tylko punktem w jaskini, z którego się zawraca. Natomiast taką wirtualną antytezą szczytu góry jest ...otwór jaskini. Miejsce, w którym akcja się zaczyna i zarazem kończy. Trzeba tylko do niego dotrzeć. Przerobić to wszystko jeszcze raz, ale pod górę.

Gwałtownie narastało zmęczenie, pojawiło się nawet otępienie. Przestałem myśleć! Na dobiegający z góry okrzyk – „Wolna!”, machinalnie podchodziłem do liny, wpinałem mały i automatycznie, niczym nakręcony pajacyk, przesuwalem je do góry, metr po metrze dźwigając ciało. Na górze powtarzałem okrzyk i szedłem dalej. Po drodze minęliśmy biwak francuski. Liończycy spali w hamakach. Solidnie zmęczeni, nawet nie zauważyli naszej obecności. Dolny biwak osiągnęliśmy po 23 godzinach nieustannej akcji. Resztkami sił, a raczej silnej woli, przyrządziliśmy jakieś prymitywne żaretko i wdarliśmy się do hamaków. Śpiwory, kiedyś puchowe, ciepłe i suche, przypominały mokrą ścierkę do podłogi. Mimo to spaliśmy twardo całe 20 godzin.

Po tej diapauzie, umownie nazywanej wypoczynkiem, zapakowaliśmy całe wyposażenie obozu do worków jaskiniowych i ruszyli do góry. Powoli mijaliśmy charakterystyczne punkty jaskini, najczęściej w postaci kaskad i studni, połączone diabliście uciążliwym, niekończącym się meandrem. Nasze worki nieustannie przybierały na wadze – przynajmniej tak to odbierały coraz bardziej sflaczałe mięśnie. Grzęźliśmy w błotach Zigzacu i Puits Glaiseux, myliśmy się w kaskadzie Jean Dupont i wreszcie, po pięćdziesięciu godzinach akcji stanęliśmy pod Puits Savoyards. Stąd było już bardzo blisko do wyjścia. Jeszcze lodowe pochylnie, śnieżny korytarzyk...

Otwór! A za nim... niebo, góry i słońce. A także czyste, wprost pachnące, górskie powietrze. Wszystkie te, w zasadzie normalne zjawiska, po długim przebywaniu poza ich zasięgiem, nabrały cudownego uroku. To oraz fakt, że jaskinię mieliśmy już za sobą, sprawiło że czuliśmy się bardzo szczęśliwi. Sponiewierani przez przyrodę, zmęczeni i brudni, padliśmy sobie w objęcia, dziękując za szczęśliwie zakończoną akcję. Akurat kończył się dzień, konkretnie 1 marca i w niskim, oślepiającym blasku słońca zbiegliśmy śnieżnymi stokami w dół, do schroniska.



J. Zygmunt



ZA SUKCES !

Z głębi doliny Pied du Gret podeszły gęste chmury i mleczną wata wypełniły podnóża gór, tworząc na pewnej wysokości kłębiasty, sztuczny horyzont, jakby olbrzymi lodowiec spłynął z nieba i odciął nas od drzemiących nizin. Byliśmy w bajkowym, wyśnionym świecie, w którym na pewno każdy z nas chciał pozostać jak najdłużej. Ale wyprawa kończyła się i nieustępliwie nadchodził dzień, kiedy na zawsze opuścimy schronisko. Siedzieliśmy wszyscy w świetlicy i bardziej przyjaznym wzrokiem spoglądaliśmy na rozpięty na ścianie przekrój podziemnego kolosa.

Jaskinię mieliśmy już za sobą. Powoli sączyliśmy wino, słuchając po raz setny balad Cohena, jedynej posiadanej kasety. Odżywały wrażenia i wspomnienia niedawno przeżytych chwil.

– Tam nie było trudności technicznych, że jakieś walki o życie, jakieś takie cuda. Po prostu ciężkie, tępe zapieprzanie z worem. Do kresu możliwości!

– Fakt. Nie ma lepszego porównania...

– Góra wybitnie osłabia. Ta 150-metrowa lufa, a dalej błotne kąpiele... Do samej wlotówki idziesz w glinie i wapiennym mleku.

– Kazio obiecał wycelować po rękach Pierrocika i dać mu zimny kompres na głowę... żeby w takim syfie eksplorować?

– O! Tu gdzieś na tym odcinku był wyjątkowo wszawy trawersik, zabezpieczony u góry stalką. Idąc z worem, nie zauważyłem jej. Ile się tam namęczyłem, ile nakląłem...

– Tak. Pamiętam to miejsce. Jest błotniste i ciasne.

– Co trochę wyszedłem, to wór wciągał mnie z powrotem. Myślałem, że nie dam rady. Gdy wracałem tamtędy – patrzę – a tam stalka wisi jak byk. Metr nad miejscem, w którym tak walczyłem...

– Jak idziesz do góry to ci się wydaje, jakby tego przybyło.

– Idąc w dół, niektórych rzeczy nie zauważasz. Po prostu spadasz. A wracając do góry, zastanawiasz się skąd to się wzięło.

– Od B-21 do V-4 szliśmy pięć godzin, i dalej – do dolnego biwaku – cztery i pół. Droga była dobrze oznaczona, jedynie niżej trochę błądziliśmy. Od biwaku do dna schodziliśmy cztery godziny, a z powrotem pięć. Przychodzimy, a tu śpiwór cały mokry. Myśleliśmy, że się skapał któryś.

– W ogóle daliśmy tu niezłego czadu. Człowiek zaległ na chwilę, a tu wizyta Wasyla. Później zaczęła się noc, tośmy się zdrzemnęli, że zeszło powyżej dwudziestu godzin.

– To się grafik akcji ładnie wydłuży...

– Całość dziury razem ze spaniem na dwóch biwakach zajęła 77 godzin.

– Kazio był obłądny. Klął na wór ile wlezie. Idę za nim, patrzę, a ten bierze worek i... jak nie walnie nim o ziemię. – Albo ty mnie, albo ja ciebie! Ty....! – powiedział do wora.

– Przy V-4 byliśmy zgnojeni jak jasny gwint. Na studni to ten wór jeszcze jakoś targaleś. Ale jak go weźmiesz w jakimś niskim korytarzyku, gdzie nie da się go na



J. Zygmunt, H. Nowacki, P. Rust, G. Baczkowski, J. Orłowski, K. Szych i St. Baraniewicz

plecy założyć, to krew człowieka zalewa.

- Złośliwość rzeczy martwych, nie znająca granic.
- A przypominacie sobie ten zacisk do połowy zalany błotem?
- Brrr! Niedobrze się robi na samo wspomnienie.
- Puść lepiej jakąś muzykę! Przydałoby się trochę odchamić.
- Właśnie! Włączmy Wolną Europę! Może poda, że akurat chłopcy wrócili... i załoiłi pierwszą jaskinię świata.
- Cooo?! Jeszcze nie podali? To zupełne jaja.
- Taaaka dziura...

Dyskusja trwała do późnej nocy. Mimo zakończonych akcji ciągle żyliśmy tą jaskinią. Była naszą częścią – na zawsze wtopiła się w życiorysy. Jej integralne, sportowe przejście było rekordem świata w głębokości pokonanej w jaskini. I to rekordem podwójnym, bo także kobiecym. W jaskini Jean-Bernard zetknęły się ze sobą dwa aspekty tego przejścia – największa głębokość i wyjątkowe, a może i największe z dotąd poznanych, nagromadzenie trudności.

Nasz wyczyn miał jeszcze inny, dodatkowy wymiar. Jak na początku wspominałem, na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, bardzo modny był w Polsce sportowy styl pokonywania jaskiń. Przejścia były oceniane od strony czasu i stylu akcji oraz stosowanej taktyki. Moda ta miała swoje korzenie w złożonej historii polskiego ruchu jaskiniowego, która w wyjątkowo dużym zakresie brała swe początki w taternictwie. Każdy grotolaz musiał umieć się wspinać, inaczej nie mógł zaliczyć żadnego kursu ani otrzymać stopnia taternickiego. Przejście trudnej jaskini było traktowane jak przejście drogi wspinaczkowej. Nawet były ustalone analogiczne stopnie trudności. Czegoś takiego nie było w żadnym innym kraju. To nas różniło od reszty grotolazów. Wraz ze sportem automatycznie pojawiła się rywalizacja. A więc śrubowanie czasów przejść popularnych jaskiń. Żadnego oglądania nacieków, jakichś wzruszeń nad urokami krainy cienia czy w ogóle – rozmyślań. Tylko akcja! Czas! Styl!

Bardzo szybko nasze tatrzańskie groty okazały się za małe. Po roku 1970-tym, wraz z poluzowaniem polityki paszportowej, ruszyliśmy w wysokogórski, wapienny świat. Atakowane były coraz ambitniejsze cele. Gruberhornhöhle, Gouffre Berger, Monte Cucco, Gouffre Andre Touya, Gouffre Mirola, Sima GESM. Po kolei padały jaskinie z pierwszej światowej dziesiątki. Doszło nawet do tego, że polscy grotolazi byli nazywani „łowcami podziemnych rekordów”. Jakby na to nie patrzeć, sportowe podejście do jaskiń zaowocowało perfekcyjnym opanowaniem wszelkich podziemnych technik. To z kolei podniosło bezpieczeństwo działania oraz pozwoliło przełamać sporo psychicznych barier. W tym między innymi tkwiło źródło późniejszych polskich sukcesów w austriackiej jaskini Lamprechtsofen, a także w wielu innych. Gdyż stopniowo, coraz bardziej zaczynał się przebijać inny cel taternictwa jaskiniowego, dotąd stojący nieco w cieniu – odkrywanie! Coraz większego znaczenia nabierało także tajemnicze i mało dotąd znane słowo – *eksploracja*. Odkrywanie nieznanych jaskiń skutecznie wyparło modę na sportowe bieganie po tych już znanych. Ale aby to mogło zaistnieć, musiało dojść do wyprawy „Jean-Bernard ´80”. Integralne przejście najgłębszej jaskini świata ukoronowało sportowy etap polskiego taternictwa jaskiniowego i jednocześnie go zamknęło.

- Czy to już koniec? - Siedzimy sobie wygodnie, pijemy winko, wspominamy dziurę i te-o-re-ty-zu-je-my. Czy nie zapomnieliśmy o kimś? - Jasne! Żabojady! Przecież minęliśmy ich jak spali na biwaku.

W czasie kiedy my, nieco wyżej, kiblowaliśmy w hamakach, oni dotarli do syfonu końcowego, położonego jak pamiętamy, 1008 metrów poniżej otworu V-4bis. Znając



Patrick Penez

już charakter Galerie de Seshommes, trudno mi sobie wyobrazić wysiłek, na jaki zdobyli się Francuzi, aby przetransportować przez te „Nieludzkie Ciągi” wyjątkowo ciężkie i nieporęczne wyposażenie do nurkowania. Niestety, tylko dla jednej osoby. To znaczyło, że Patrick Penez musiał nurkować sam, bez asekuracji, za to w ogromnym stresie. Ale był to wyjątkowy zawodnik, godny tego zadania. Cztery lata wcześniej pokonał samotnie słynną jaskinię Gouffre Berger, schodząc do dna na głębokości 1122 metrów. Tak też i teraz odważnie zanurzył się w syfonie, i po przepłynięciu 45 metrów, wypłynął z drugiej strony przeszkody. Odkrył tam 350 metrów korytarzy, które sprowadziły go 52 metry w dół, do następnego syfonu. Gouffre Jean-Bernard uzyskała nową głębokość 1410 metrów.

Cieszyliśmy się ich sukcesem, gdy dotarli do schroniska. Mieliśmy przecież w tym swój skromny udział. Bez przetarcia przez nas szlaku, wykopania otworu czy zaporęczowania dolnych partii jaskini na pewno nie daliby rady. Nie bez znaczenia był także psychiczny komfort, wynikający z naszej pobliskiej obecności.

Nieuchronnie nadchodził kres wyprawy. Jeszcze tylko parę szybkich wyjść do górnego obozu – likwidacja namiotów, zniesienie sprzętu... Ostatnie śniadanie, przyrządzone na resztkach gazu, ostateczne pakowanie plecaków i na koniec – solidne posprzątanie całego schroniska.

Płomyk karbidowego miksta*, tak intymnie rozjaśniający dotąd świetlicę, został zdmuchnięty po raz ostatni. Na okna z powrotem wróciły masywne osłony, zaś drzwi zostały zamknięte na klucz. Ruszyliśmy gęsiego. Uginając się pod brzemieniem ciężkich plecaków, od czasu do czasu kontrolnie spoglądając na basztę *de Criou*, powoli zeszedliśmy w dół. Demon cierpliwie czekał na polance. Teraz on przejmował inicjatywę. Skończyła się przygoda z jaskinią i zaczynała, nie mniej atrakcyjna, przygoda ze Starem.

– Nooo chłopcy! Spróbujcie jeszcze raz, tylko równiej. Już prawie chwycił – Grzesiek wychylił się z kabiny. – Cholera! Znowu się nie udało...

Zastępując zepsuty rozrusznik, ekipa grotołazów zgodnie pchała ciężarówkę, wracając z podboju najgłębszej jaskini świata.

POST SCRIPTUM

W wyniku brawurowej akcji nurkowej Francuzi „powiększyli” znane partie jaskini, osiągając rekordową głębokość 1410 metrów. Nieodparcie nasunęła się tutaj refleksja, że do „magicznej” liczby, leżącej wtedy jeszcze w strefie marzeń, półtora kilometra głębokości, było już bardzo blisko. A jeszcze nie tak dawno taką liczbą był jeden kilometr. No i... nie wiadomo, co miało być w przyszłości, bo tempo jaskiniowych odkryć wraz ze stopniowym upowszechnieniem podziemnego sportu, narastało bardzo intensywnie, żeby nie użyć górskiego terminu – lawinowo. W alpinizmie podziemnym, zwanym także tatarnictwem jaskiniowym lub pospolicie – grotołazaniem, nie jest znany odpowiednik Mt. Everestu.

Mixt – zestaw oświetleniowy Petzla montowany na kasku, składający się z latarki elektrycznej i palnika acetylenowego z piezoelektryczną zapalarką (zob. rys. na str. 243)



Demon w akcji

Jedynie w miarę postępujących odkryć poszczególne jaskinie zajmują coraz wyższe lokaty na liście najgłębszych w świecie.

Skoro jesteśmy przy podziemnych rekordach, bo to w końcu one wyznaczały sportowe cele, warto prześledzić, choćby tylko w zarysie, ich ostatnią historię. Tak się złożyło, że kolejna bariera podziemnej głębokości, określona prawie okrągłą liczbą 1,5 kilometra, została przekroczona w „naszej” Gouffre Jean-Bernard. W roku 1983 przyłączono do niej, położoną trochę wyżej jaskinię B-22. Dzięki temu cały system uzyskał deniwelację 1535 metrów. W trudnych wspinaczkach, jakie doprowadziły do tego sukcesu, znaczący udział brali nasi dobrzy znajomi – Rysiek Knapczyk i Mikołaj Czyżewski, którzy zdecydowali się na dłuższy pobyt we Francji., i oczywiście Francuzi, którzy zdążyli już zapomnieć o dawniejszych uprzedzeniach. W ten sposób nasza sportowa ekspedycja z 80-go roku miała swój ciąg dalszy, w postaci wspólnych, polsko-francuskich działań eksploracyjnych. Jaskinia zyskała nową głębokość, ale mimo stworzenia okazji do pobicia naszego rekordu, nikt nie wykorzystał tej szansy. Nikt też nie próbował – nie wiem, czy z braku motywacji, czy z powodu spiętrzonych trudności.

Wraz z eksploracją coraz większych i coraz głębszych jaskiń, dokonywanych często w szybkim, technicznie doskonałym i właściwie sportowym stylu, organizowanie przejść tylko „dla przejść” przestawało mieć sens. Poza tym..., jak na początku wspominałem, był to właściwie polski wynalazek, okazjonalnie jedynie kopiowany przez Słowaków czy Francuzów. Nasi grotolazi jeszcze przez następne dziesięć lat wielokrotnie biegali „na sportowo” po jaskiniach, głównie tatrzańskich. Były to przedsięwzięcia stosunkowo łatwe do przeprowadzenia i tanie, choć ze strony technicznej bardzo wymagające. Pokonywano więc jaskinie różnymi metodami: przy pomocy wspinaczki klasycznej, metodą sznureczkową (z jedną liną), czy też jednosobowo (solo). Bohaterowie tych akcji zyskiwali cenne doświadczenia, jeszcze cenniejszą (?) sławę oraz wiedzę o swojej rzeczywistej wartości. W sumie przyczyniało się to do znaczącego podniesienia poziomu wyszkolenia. To właśnie w tego typu sportowym podejściu do jaskiń można upatrywać źródeł najważniejszych sukcesów eksploracyjnych, jakich później dokonali polscy grotolazi.

Ale po kolei.

Gouffre Jean-Bernard utrzymała swój światowy prymat do roku 1998, kiedy to po dwudziestu jeden latach speleologicznego królowania została zdetronizowana przez

swoją sąsiadkę z tego samego masywu – Gouffre Mirollda. Dzięki przenerkowaniu syfonu końcowego udało się w tej ostatniej uzyskać głębokość 1610 metrów.

Ale już w sierpniu tego samego roku świat obiegnęła wiadomość, że w austriackiej jaskini Lamprechtsofen uzyskano rekordową deniwelację 1632 metrów. Po raz pierwszy „podziemny Everest” opuścił stolicę światowego *speleo* jaką od zawsze była Francja, i to za sprawą... Polaków. W wyniku wieloletnich, prowadzonych w Alpach Salzburskich prac eksploracyjnych udało się naszym grotolazom połączyć cztery wielkie jaskinie w jeden ogromny, podziemny system. Od razu narzucał się znany już nam temat – przecież to była wyśmienita okazja do powtórzenia sportowego rekordu. Ano, okazja była – musimy się z tym zgodzić – ale już nie było odpowiednich łożantów. Tak jak w tej znanej piosence: „*gdzie są chłopcy z tamtych lat, gdzie...?*” Chłopcy akurat byli, tylko – „piękni czterdziestoparoletni”. Lamprechtsofen to nie był jakiś tam, zasadniczo prosty, sprowadzający na rekordową głębokość korytarz, gdzie należało jedynie się pchać w dół – do syfonu i z powrotem, tak jak to było w Gouffre Berger, Pierre Saint-Martin czy Jean-Bernard. Lamprechtsofen to był bardzo skomplikowany, niezwykle długi, wielootworowy system, w którym najważniejszą rzeczą, obok żelaznej kondycji, była znajomość drogi. A zawodnicy, którzy ją znali, którzy na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat dokonywali tu kolejnych odkryć, byli po prostu... za starzy. Poza tym – dobrze pamiętaliśmy wyjątkowe trudności tej jaskini, gdy w zimie 1992 roku, kiedy była trzecią jaskinią świata, dokonaliśmy jej pierwszego (i ostatniego) trawersowania.

Tak więc, odkrycie jaskini, której sportowe przejście było niemożliwe, automatycznie zamknęło ten rozdział taternictwa jaskiniowego. Jakby tego było mało, w roku 2002 rosyjscy i ukraińscy grotolazi przekroczyli kolejną „mityczną” granicę. W kaukaskiej jaskini Krubera zeszli na głębokość 2080 metrów, ustanawiając kolejny rekord świata. W tej sytuacji samo już zejście do takiego poziomu, obojętne w jakim celu, było (i jest) wyczynem najwyższej klasy. Jak długo „podziemny Everest” zostanie w Gruzji? Nikt tego nie wie. Ale jedno jest pewne – sportowa eksploracja, czyli taka krzyżówka normalnego speleologicznego odkrywania i wyśrubowanego „na maksa” sportowego biegania po jaskiniach, stała się podstawowym celem dla ambitnie działających grotolazów.

Nam zostaje jedynie wspomnienie, że 26 lat temu, kierowani swoistą rekordomanią, przeżyliśmy wspaniałą przygodę. Nawet zostaliśmy za to uhonorowani państwowymi medalami „za wybitne osiągnięcia sportowe”. W tym jednak względzie mieliśmy pecha, bo to wyróżnienie nie wiązało się z żadnymi finansowymi gratyfikacjami, jak jeszcze parę lat wcześniej bywało we zwyczaju GKKFIT*. W zamian za to, do niektórych z nas – zwłaszcza kolegów mieszkających w Krakowie – przyłgnał niejednoznaczny, środowiskowy tytuł „mistrza świata”, mający w podtekście sporą dawkę złośliwości, jak i zwykłej zazdrości. No cóż, wszyscy jesteśmy ludźmi...

Po jakimś czasie, po nabraniu stosownego dystansu i doświadczenia, z całą pewnością mogę stwierdzić, że dla mnie, choć pewnie nie jestem w tym odosobniony, największą wartością tamtej wyprawy stały się zawiązane przyjaźnie. Potem jeszcze wielokrotnie działaliśmy razem, w jaskiniach i górach całego świata. I co najważniejsze – ciągle jeszcze coś planujemy.